Nr. 2. Poznań, dnia 14 Stycznia 1906 r. Rok X.

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 2-go.

ODEZWA.

Przy zbliżającym się karnawale poruszono na łamach prasy naszej kwestyę wstrzymania się od zabaw wobec przełomowej chwili, którą obecnie przeżywamy w Królestwie. Chwila ta nie ma wprawdzie pod względem politycznym bynajmniej charakteru żałobnego, przeciwnie, mimo wszelkich przejściowych objawów reakcyi otwierają nam się korzystniejsze widoki na przyszłość. Ale pora obecna, brzemienna w fakta o przełomowej dla całego narodu doniosłości, pora, w której na całym obszarze zaboru rosyjskiego społeczeństwo polskie wśród silnego napięcia ducha narodowego, oraz z olbrzymim wysiłkiem narodowej energii pracuje twórczo nad podwalinami lepszego bytu, pora ta wymaga nie mniej od nas w zaborze pruskim głębokiego skupienia i poważnego nastroju, w którym uwydatnia się prawdziwe zrozumienie istoty dzisiejszej sytuacyi, oraz szczera, a ścisła solidarność z braćmi naszymi po za kordonem.

Z tego wychodząc założenia odwołujemy się do społeczeństwa, by zważywszy powyższe względy powstrzymało się w bieżącym karnawale od urządzania zabaw *publicznych*, udowadniając tem samem, że umie swe idealne uczucia w realny przemienić czyn. Poświęćmy choćby część tylko zaoszczędzonego w ten sposób grosza na załagodzenie nędzy panującej w zaborze rosyjskim, a wywdzięczymy się za serce tylokrotnie nam okazane przez braci za kordonem.

Dr. Władysław Bolewsksi (Krotoszyn), Dr. Bolesław Broekere, Bernard Chrzanowski, Jarogniew Drwęski, Ks. Tadeusz Dykier (Buk), Dr. Paweł Gantkowski, Dr. Tadeusz Jaworski, Dr. Kazimierz Hącia, Marcin Kaniasty, Dr. Bolesław Kapuściński, Dr. Adam Karwowski, Dr. Bolesław Krysiewicz, Józef Kużaj, Czesław Leitgeber, Jarosław Leitgeber, Stanisław Leitgeber, Walery Łebiński, Dr. Stefan Michalski, Stanisław Mieczkowski, Dr. Władysław Mieczkowski, Dr. Mizerski, Dr. Felicyan Niegolewski, Lucyan Osten, Telesfor Otmianowski, Dr. Stanisław Pernaczyński, Stanisław Pfitzner, Adam Ruszczyński (Leszno), Dr. Schroder, Roger Sławski, Dr. Stasiński, Idzi Świtała, Dr. Bronisław Szulczewski, Ks. Dr. Taczak, Dr. Stanisław Tomaszkiewicz (Gniezno), Dr. Trzciński (Gocanówko), Dr. Ignacy Trepiński (Gniezno), Michał Więckowski, Adam Woliński, Dr. Franciszek Zakrzewski, Karol Rzepecki.

Dalsze podpisy prosimy przesyłać na ręce p. Dr. Felicyana Niegolewskiego — Poznań — Plac Wilhelmowski nr. 18. II.

Na głodnych braci w Królestwie Polskiem odebrałem od p. dr. Kapuścińskiego 20 marek. Dalsze datki na ten cel chętnie przyjmuję.

Dr. Felicyan Niegolewski.

Kotowiecko stracone!

Dnia 10-go b. m. na subhaście dobra wolnej kupiła kom. kolonizacyjna Kotowiecko (2800 mórg) za 1.043.000 mk.! W sali sądowej zauważono trzy odłamy licytantów. Ziemiaństwo polskie między niem dwaj panowie Morawscy ze swym doradcą p. mec. Trąmpczyńskim oraz p. dyrektorem Kusztelanem z Banku Związku Spółek i p. M. Biedermannem tworzyli prawicę w środku jako obóz drugi odgrywali „dramat rodzinny“ pp. Puławscy (córka p. Suffczyńskiej z domu Morawskiej poszła za Puławskiego) i p. Olszówka „oberślązak“, a na lewicy widzieliśmy zarząd domen król. i komisyą kolonizacyjną w postaci przedstawionych agentów pp. Stanisława Tietza (!) i Bolesława Kamińskiego (!) z Gniezna ongi z Królestwa. Polacy licytowali do 1.040.000 marek; ostatnim licytującym z Polaków był p. Biedermann, który działał w porozumieniu z pp. Morawskimi. Pp. Puławscy ugodę zawartą w ostatniej chwili z p. Biedermannem zerwali! Przybito wieś ostatecznie p. Kamińskiemu a więc kolonizacyi.

Po licytacyi zaszło w hotelu w Pleszewie kilka drastycznych scen. Pan Olszówka o tyle był mądrym, że unikał zetknięcia się z Polakami. Natomiast pp. Puławscy prowokowali ze-

brane polskie obywatelstwo; pani P. zabrała się do wygłoszenia „mowy“, ale nasi obywatele wstali od stołu zostawili samych tych, co przyczynili się do zaprzepaszczenia Kotowiecka. W całem postępowaniu pp. O. i P. było widać chciwość pieniędzy, o patryotyzmie nie ma u tych państwa mowy!

Tak się skończył „dramat rodzinny“ Morawskich, do którego zapewne powrócimy jeszcze. W końcu przestrzegamy Rodaków przed pp. Kamińskim i Tietzem, bo są oni widocznie ajentami komisyi kolonizacyjnej.

Gdzie się córki nasze niemczą?

Prawie każdy wzdrygnie na to ramionami i powie sobie, że córkom naszym giermanizacya nie zagraża, setny tylko ojciec lub matka zastanowią się nad tem pytaniem, powiedzą sobie: Toć i dziewczęta nasze po niemiecku nauczyć się muszą, w domu się tego języka *nie* nauczą, więc je chyba oddać do niemieckich domów wychowawczych, bądź świeckich, bądź zakonnych.

Robotnik i rolnik muszą córki swoje posyłać do przymusowej szkoły elementarnej; tych więc pytanie nasze nie dotyczy, ale wzruszyć tu musimy sumienie tych rodziców *zamożniejszych*, którzy córki swoje za własne pieniądze niepotrzebnie niemczą, *dobrowolnie*, a jest ojców takich liczba dość wielka i to kilku stanów i wielu zawodów.

Naprzód bogatsi opłacają się znacznie zakonnicom Niemkom w kilku zakładach, posyłając je, też niepotrzebnie, do t. zw. wyższych szkół żeńskich w towarzystwo Niemek i żydówek o odrębnej od nich psyche i kulturze; mniej zamożni, którzy pragną, aby ich córki nauczyły się rozmowy towarzyskiej niemieckiej, żeby nabrały układnych obyczajów i towarzyskiego obejścia się z Niemcami, żeby oprócz tego córki nauczyły się jakowejś pracy domowej; ci wreszcie posyłają córki swoje do zakonnic Niemek, tu w Wielkopolsce od niedawna osiadłych.

Tych dziewcząt jest liczba dość spora i tym największa dzieje się pod względem narodowym krzywda na umyśle i duszy. Ponieważ już od dłuższego czasu nasyłani byliśmy w sprawie tej listami i nagabywani ze strony rodziców i wychowawców naszych, przeto z obowiązku publicystycznego podajemy tutaj szereg faktów, których prawdziwości nikt zaprzeczyć nie zdoła.

Oto w Rokitnie, powiecie międzyrzeckim, jest zakład pp. Boromeuszek, które są odnogą klasztoru w Trzebnicy, a które oprócz miłosierdzia zajmują się także rzekomo wychowywaniem młodzieży żeńskiej, czy jej kształceniem. Zakład ten poleca się nam Polakom w polskich gazetach polskiemi ogłoszeniami, a że i nawet prospekty swoje, tj. polecenie do rodziców w polskim rozsyłał języku, więc ci lub owi nieoględni rodzice przekonani są o tem, iż polskość ich dzieci w zakładzie tym katolickim żadnego nie dozna uszczerbku. Tymczasem rzecz ma się *zupełnie inaczej* — i to od dość dawnego już czasu:

Polek w zakładzie tym obecnie jest *34 ogółem*, a połowa tych dziewcząt na-

Czarna księga

czyli

szkody wyrządzone polskości przez komisyę kolonizacyjną.

(Ciąg dalszy.)

II. Ubytek ziemi z rąk polskich.

Pamiętacie, kochani rodacy, że w ostatnim numerze „Pracy“ wykazałem wielkość napływu kolonistów niemieckich na ziemie polskie; liczba kolonistów tych osiedlonych na morgach komisyi kolonizacyjnej wynosi 70,000 dusz, z których zaledwie 3,000 jest katolickich. Nie chcąc przedstawiać Wam, kochani wiarusy, fałszywego obrazu, muszę dodać, że w liczbie tej jest około 4,000 Polaków to jest parobków i dziewcząt, których koloniści musieli przyjąć do roboty na swe ziemie w braku innych sił roboczych. Dalej należy pamiętać, że około 30,000 głów kolonistów nie przywędrowało do Księstwa lub Prus, lecz że już tutaj mieszkali zanim kupili ziemię od kolonizacyi. Jeżeli dodamy tu liczby katolików-Niemców, Polaków i Niemców już dawniej tu zamieszkałych to otrzymamy cyfrę 37,000, a odciągnąwszy tę liczbę od ogólnej cyfry 70,000 przekonamy się, iż komisya kolonizacyjna osiedliła na ziemiach naszych przez lat 20 zaledwie 33,000 dusz protestanckich — na szczęście nie wiele! Pamiętajmy atoli, że zczasem i te cyfry przy rozplenianiu się ludności bardzo poważnie mogą zaważyć na szali przy układaniu ogólnej statystyki.

Dziś chcę się, kochani bracia, podzielić z Wami wiadomością o ubytku ziemi z rąk polskich w ręce kolonizacyi. Zanim do tego przystąpię, zastanowimy się naprzód nad tem, jaka była oferta czyli podaż ziemi w latach 1903-im i 1904-tym. Otóż

ofiarowano komisyi kolonizacyjnej

	dóbr ryc.	gospodarstw	ogół. hekt.	czyli mórg	czyli mil kwadr.
w r. 1903	509	380	245.873	985.000	44
w r. 1904	447	**565**	216.675	870.000	38

Jakie to zastraszające cyfry!

Wprawdzie z tych 38 kwadratowych mil, które ofiarowano komisyi kolonizacyjnej kupiła ona z roku 1904-tym tylko 36 dóbr rycerskich, 28 samodzielnych folwarków i 75 gospodarstw włościańskich, ale i w tych cyfrach znalazło się niestety kilkunastu Polaków. a co najgorsza, że teraz gdy szlachta się ustatkowała i za hańbę uważa sprzedaż ziemi w ręce kolonizacyi, to niestety gospodarz wiejski poszedł w jej ślady i za marne złoto sprzedaje coraz częściej swą glebę ojczystą.

O prawdziwości słów powyższych przekonamy się zaraz z cyfr następujących.

W roku 1904-tym sprzedano:

Pomiany (2050 mórg), Żydowo (950 m.), Charbowo (1220), Modliszewo (3780), Kobelnicę i Witowice (3160).

Razem sprzedało 6 dziedziców: 11.160 mórg!

Gospodarze polscy natomiast sprzedali w r. 1904-tym:

Fürstenau Pr. Zach. (160 mórg), Parzęcin (200), Krotoszyn (13), Kaczanowo (17), Sędziwojewo (20), Buszkowo (490), Schanzendorf (560), Klecko (mieszczanin!!), Wełnica (110), Inowrocław (33), Kozłowo (290), Strzelce i Kunowo (430), Schönrode (210), Witkowo (40), Bradzyń (90), Gącz (70).

Razem sprzedało 15 gospodarzy i jeden kupiec: 2.750 mórg!

Nie od rzeczy będzie tutaj przypomnieć sobie, ile komisya kolonizacyjna wykupiła wogóle ziemi od początku istnienia aż do roku 1905 wyłącznie.

Kupiono.

	majątków	mórg	zapłacono	przeciętnie za morgę
gospodarstw	205	44.724	12.032.005	430 mk.
rycerskich	441	1.001.920	197.265.082	315 mk.
Razem	646	1.046.644	209.297.087	320 mk.

Kolonizacya wykupiła zatem 46 mil kwadratowych i zapłaciła za nie do roku 1905 wyłącznie 209 milionów marek!

Na urządzenia, budowle, zbory, szkoły i t. d. wydała przeszło 120 milionów marek.

W tej liczbie sprzedali Polacy.

	majątków	mórg	za marek
szlachta	113 ryc.	396.760	73.945.555
ziemianie	20		
gospodarze	144		
	277		

Jeżeli doliczymy do tego straty polskie z roku 1905-go to widzimy, że

około 300 Polaków w tem 20 dziedziców i 180 gospodarzy sprzedało kolonizacyi

400,000 mórg!!

za 75 milionów marek!!

szych bynajmniej w języku niemieckim biegłą nie jest. Zakonnic Polek nauczycielek było kilka, dzisiaj została tylko jedna jedyna, a i ta dzisiaj najmniejszej z uczennicami nie ma styczności, gdyż zajmuje się obecnie pielęgnowaniem chorych.

Uczyć się mogą w tym zakładzie przedmiotów następujących: religii, języka niemieckiego, francuskiego, a nawet tak zwanej korespondencyi polskiej, tj. poprawiania listów i pisania listów do domu, książkowości, gry na fortepianie, tak zw. „robótek ręcznych“ i praktycznej pracy domowej.

Nas obchodzą głównie dwa przedmioty: to jest religia i język polski, którego przeważna część dziewcząt *przed* przybyciem do Rokitna się w domu gruntownie *nie* nauczyła..

Pierwszego przedmiotu nasze dziewczęta nauczała dawniej jedna z sióstr Polek, nieboszczka, która była zawodową nauczycielką i posiadała odnośną misyę kanoniczną, czyli pozwolenie od władzy kościelnej.

Po śmierci jednak tejże siostry przez dziesięć tygodni początkowych roku 1905 nauki religii wcale nie było później był półgodzinny wykład *niemiecki*, a kwadrans odpytywania tylko katechizmu tak zw. małego.

Po pewnym czasie nawet i te książeczki z małym katechizmem oraz wszystkie inne książki polskie *zniknęły* z zakładu — w zakładzie *obawiano* się bowiem rewizyi, czy inspekcyi ze strony rządu, których przedstawicieli te polskie podręczniki razić byłyby mogły. — (Zaraz tutaj zaznaczyć nam należy, że tak zw. mały katechizm potrzebny jest do nauki przygotowawczej do Sakramentów św. a że tej nauki nawet rząd kościołowi w polskim pozwala udzielać języku. — Przyp. Red.)

Po pół roku jednak panienki Polki w dzień świętych apostołów Piotra i Pawła *zażądały*, aby tak jak dawniej, za życia ks. dziekana Garskego nauczano religii w języku *ojczystym;* żądanie to było tak stanowczem, że przełożona zakładu przywiozła zaraz z Trzebnicy siostrę nauczycielkę, która żądanie to zaspokoić miała. Tymczasem okazało się, że siostra ta była Niemką z rodu, że się wprawdzie poprzednio niegdyś języka polskiego była poduczyła, ale że przez lat siedem tegoż naszego języka — który dla niej był *obcym — zapomnieć* zdołała. Do wakacyi zatem wielkich, a zatem przez pół roku, nasze polskie dziewczęta, religii św. w języku *ojczystym się nie uczyły,* jakkolwiek naukę tę solennie im *obiecywano* i to nawet we formie *nagrody* za to, że nie będą rozmawiały ze sobą po polsku podczas wycieczki, jaką po Zielonych Świątkach pensyonarki urządziły do Międzyrzecza.

Po wakacyach dziewczęta *po raz drugi zażądały* lekcyi w języku polskim, wtedy gdy się rozeszła pogłoska, że lekcye religii jednak będą niemieckie. Wtedy uczennice oświadczyły, że zakład *opuszczą.* Na to od miejscowego księdza proboszcza otrzymały zapewnienie, że na lekcye religii św., udzielane w języku niemieckim, uczęszczać nie potrzebują, bo im owa siostra ad hoc z Trzebnicy sprowadzona polski da wykład i to w dwóch lekcyach tygodniowo. Dostają więc teraz ostatecznie owe dwie godziny religii w ję-

---

Czas się upamiętać bo inaczej wyzbędziemy się ziemi do reszty i pójdziemy w służbę lub zależność od obcych!

Ażeby mieć dokładny obraz gdzie komisya kolonizacyjna w ostatnich latach najwięcej ziemi wykupiła musimy sobie uprzytomnić, że Prusy Królewskie mają dwa obwody regencyjne: gdański i kwidzyński, Księstwo nasze także dwa: poznański i bydgoski.

Otóż z rąk polskich wykupiła komisya w roku 1904.

W obw. reg. gdańskim	— mórg
w obw. reg. kwidzyńskim	360 mórg
w obw. reg. poznańskim	3,064 mórg
w obw. reg. bydgoskim	10,486 mórg
razem	13,910 mórg.

Widzimy z tego, że na Kaszubach i w Prusach królewskich mają Polacy już bardzo mało ziemi, albo też dzielnie ją w ręku trzymają. Najwięcej wykupiono w roku 1904-tym naokół Bydgoszczy więc i nasze *Kujawy* widocznie najwięcej ziemi niestety kolonizacyi sprzedały!

Jest z drugiej strony pocieszającem, że od Polaków kupiła kolonizacya w roku 1904-tym tylko 10 procent to znaczy 10-tą część ziemi zakupionej ogólnie. Jeżeli zważymy, że na milion morgów kupionych ogółem sprzedali Polacy 400,000 morgów to znaczy 40 procent, to możemy z lepszą otuchą patrzeć w przyszłość bo z 40 procent zjechaliśmy na 10, przez co wartość nasza moralna powiększyła się o 75 procent, od czasów kiedy to z lekkiem sercem sprzedawano ojczyste łany w ręce obce, z których drogą kupna, drogą uczciwej konkurencyi i pracy nikt już ziemi tej nie wydobędzie.

Bracia włościanie! Wejdźmy w siebie i powtórzmy sobie, że 400 tysięcy morgów pochłonęła kolonizacya w niespełna 20 lat! A wiecie Wy bracia, ile wogóle jeszcze ziemi jest w rękach Polaków?

Otóż w Księstwie mieli dziedzice Polacy w roku 1899-tym jeszcze 2 miliony mórg, a było tych dziedziców 601, podczas gdy 1382 Niemców dziedziców miało 4 miliony mórg! Jeżeli przypuścimy, że Polacy w Prusach królewskich sprzedali 100,000 mórg, a w Księstwie 300,000 mórg, jeżeli gospodarze mają milion mórg jeszcze, to musimy się za głowę chwycić, bo zobaczymy, że *dziesiąta część całej polskiej ziemi w Księstwie* już przeszła w ręce komisyi kolonizacyjnej!!

Jest to straszny cios wymierzony polskości i czas naprawdę, aby wszyscy ziemianie, czy szlachta, czy gospodarze zaprzestali raz nareszcie zaprzedawać Ojczyznę.

W ostatnich dwóch latach bardzo mało było słychać, aby szlachta sprzedawała majątki na kolonizacyą. Za to znalazło się kilku mieszczuchów i kilkudziesięciu gospodarzy, którzy mianowicie w ostatnim roku 1905-tym lekkiem sercem dla marnego zysku sprzedali swą ziemię temu molochowi kolonizacyjnemu, aby tylko zgarnąć judaszowe złoto. Rząd widząc, że się szlachta polska naprawiła, widząc, że jeszcze jej jest dość na 600 majątkach, a jeno 120 znalazło się takich co sprzedać musieli, albo nie dali się upamiętać, założył teraz sieć na gospodarzy polskich i od nich chce ziemię nabywać. Dowodzą tego cyfry, bo wykupili w roku 1902-im 40 gospodarstw, w r. 1903-cim — 39, a w roku 1904-tym 49 gospodarstw; w tej liczbie 119 gospodarstw *było około 50 polskich,* a w roku ostatnim ciągle po gazetach czytaliśmy, że gospodarze namawiani przez agentów niesumiennych i przez żydów sprzedawali często gęsto swą ziemię obcym.

Bracie gospodarzu! Nie myśl, że z tych 75 milionów, które kolonizacya wypłaciła dotąd Polakom, pozostało coś w polskiej kieszeni! Nie wierz w to. Przecież to cena kupna, a na każdym majątku i gospodarstwie były jeszcze wielkie długi. A więc jeno 10 do 15 milionów wzięli sprzedawczyki przez 20 lat do kieszeni! A gdzie oni? Gdzie ich bogactwa, ich fortuny, ich miliony?

Rozleciały się, albo też zjadają oni ich resztki po obcych miastach i za granicą! A co społeczeństwo o nich myśli i mówi? Pogardza nimi, przeklina ich i ręki im żaden uczciwy Polak nie poda! Szanuj się, bracie, nie sprzedawaj ziemi, oddalaj od siebie pokusę marnego złota, bo jak sprzedasz ziemię obcemu to i Ciebie społeczeństwo polskie uważać będzie za zdrajcę. Toć to nikt inny jeno cesarz Wilhelm II. powiedział niedawno w Gnieźnie, że Niemiec co ziemię Polakowi sprzedaje to zdrajca! A czy nie stokroć gorszy zdrajca ten Polak co ziemię Niemcowi lub kolonizacyi sprzedaje?! Równa miara dla wszystkich! a my przecież w gorszem położeniu, bo nie mamy wolnej Ojczyzny, nie mamy rządu i kolonizacyi polskiej, któraby nasz żywioł polski ratowała i broniła.

Ale mamy „Straż.“ Każdy prawy Polak, który słyszy, że szlachcic, mieszczuch lub gospodarz chce sprzedać ziemię obcemu lub kolonizacyi powinien w tej chwili donieść o tem swemu staroście, który sprzedaży będzie się starał zapobiedz. Przeczytajmy, bracie jeszcze raz sobie powyższe cyfry, spamiętajmy sobie te szkody i straty i — brońmy wspólnie ziemi naszej!!! *K. R.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

zyku polskim, ale z wykładu tego udzielanego im przez nie-Polkę dziewczęta zadowolonemi być nie mogą i nie są.

Co się jednak dzieje?!

Modlą się nawet te dziewczęta nasze po niemiecku i to rano i wieczorem, z całego bowiem pacierza rannego króciutką tylko wolno im zmówić modlitewkę polską — wieczorem zaś i to od niedawna wolno im w ojczystym języku odmówić tylko jednę dziesiątkę różańca.

Śpiewać podczas mszy św. tylko raz w tydzień wolno im po polsku.

Skonstatować

więc musimy dokładnie, że religii św. w języku polskim zakład naprzód *dać nie chciał,*

że go wreszcie pod presyą rzekomo zaprowadził.

Ale jakiż tego rezultat rzeczywisty?

Oto, że część naszych dziewcząt dzisiaj jednakże na ten *niemiecki* wykład religii *przeciągniętą została,* mimo iż rzekome lekcye polskiego katechizmu istnieją.

Jest część dziewcząt słabszego charakteru, które się siostrom Niemkom *przymilić* pragną i to już panienki, od których się żąda wyrobienia większego, bo liczą już lat 16 do 18-stu. Dziewczęta, które z rdzennie polskich rodzin pochodzą, tracą tam to poczucie narodowe i *dobrowolnie* lgną do obczyzny.

Te fakta coraz to są u nas głośniejsze i w najrozmaitszych okolicach Księstwa na nie głośno sarkać zaczynają.

Na razie kończymy ogłoszenie pierwszej części naszych informacyi; niechaj jednakże rodzice i opiekunowie spamiętają sobie wyraźnie:

że nasze córki najprzód dopominają się kilkakrotnie *polskiej* religii,

że ją rzekomo otrzymują,

że się potem niektóre tegoż wykładu polskiego dobrowolnie zrzekają.

Jakież tedy niebezpieczeństwo dla prawości ich charakteru, jakież niebezpieczeństwo dla ich narodowości!

Kto temu winien?

Te pytania roztrząśniemy w ciągu dalszym.



O stosunkach szkolnych w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich

wypowiedział w sejmie pruskim poseł nasz ks. prał. *Stychel* ze wszech miar godną uwagi mowę, i to przy obradach nad nowem prawem szkólnem. Poseł nasz zaznaczył na wstępie, że prawo to przedstawia się dość korzystnie, ale podpada, że dwie dzielnice, dla których byłyby projektowane zmiany najniezbędniejszemi to jest W. Ks. Poznańskie i Prusy Zach., z pod tego prawa mają być wyjęte. Podnosząc zaś szczególnie sprawę *wyznaniowości* szkół, dokładnie przez nowy projekt określoną, mówi dosłownie tak:

„Zasada wyznaniowości szkoły ludowej opierająca się już na konstytucyi, doznała ogólnego uznania i nawet w dyskusyi poparcia ze wszech stron, z małemi tylko wyjątkami. I z tej zasady uważanej za miarodajną my mamy być wykluczeni! Dla czego tak się dzieje? Otóż ze względów politycznych, aby nas zgermanizować, a jeszcze więcej aby nas *sprotestantyzować.*

Dla tych celów pruskiej racyi stanu, prawdziwie pruska bezwzględność narusza nietykalną dziedzinę religijno-wyznaniowego wychowania i wykształcenia i religijnego uczucia. Pan poseł Heydebrandt, przemawiając z naciskiem za zasadą wyznaniowości, rzekł między innemi: „Skoro panowie wyrugujecie wyznaniowość, a z nią religią ze szkoły, oddacie szkołę w ręce państwa". Tego co prawda pan poseł nie życzył sobie, ale tego właśnie rząd pragnie. Rząd pruski chce zachować dla siebie dzielnice polskie jako pole na którem w dalszym ciągu mógłby wykonywać operacyę i wiwisekcye na uczuciach ludności i na delikatnej duszy polskiego dziecka."

Szczególnie podkreśla poseł nasz wielką sprzeczność, jaka zachodzi pomiędzy projektowanem uwzględnieniem praw ewangielicko-niemieckiej *mniejszości* — a istotnem *pogwałceniem* praw katolicko-polskiej większości w naszych dzielnicach, że prawa te w szkole ludowej tam, gdzie wchodzi w rachubę religia, wyznanie, — nogami się depce.

Na dowód tego twierdzenia przytacza następujące liczby z stosunków szkolnych miasta *Poznania.*

Poznań liczy 12 szkół. Wszystkie są symultanne. Liczba dzieci katolickich w szkołach miejskich w roku 1903/04 wynosiła 9681, ewangielickich 2724. W przeciwieństwie do tego było w tych 12 szkołach poznańskich 126 katolickich i prawie tyle — 121 — ewangielickich nauczycieli.

W roku 1904/05 liczby naturalnie urosły. Liczba katolickich dzieci wynosiła 10 387, ewangielickich 2810. Statystyka o wyznaniu nauczycieli ostatnie sprawozdanie niestety nie podaje (!) Z jakiego powodu? Tego dociec trudno. Są atoli pewne dane na to, że stosunek liczebny nauczycieli ewangielickich do katolickiego wyznania dzieci pogorszył się jeszcze.

W szczegółach obraz ten przedstawia się jeszcze gorzej.

W roku 1903/04 w *pierwszej* szkole miejskiej na każdego z 10 nauczycieli tam pracujących przypada 85 dzieci katolickich.

W *trzeciej* szkole miejskiej na każdego z 14 ewangielickich nauczycieli przypada 15 dzieci ewangielickich, na każdego z 18 katolickich nauczycieli 78 dzieci katolickich. W piątej szkole miejskiej przypada na każdego z 11 ewangielickich nauczycieli 16 dzieci ewangielickich, na każdego z 6 katolickich nauczycieli 92 dzieci katolickich. Taka jest statystyka szkół miejskich w Poznaniu.

We wszystkich szkołach miejskich — wlączywszy szkoły średnie — było 11 203 dzieci katolickich, 4 483 ewangielickich, 391 żydowskich. Nauczycieli było 344, w tej liczbie 160 katolickich, 179 ewangielickich i 5 żydowskich. Na jednego katolickiego nauczyciela przypada przeciętnie 70 dzieci katolickich, na jednego ewangielickiego 25 dzieci ewangielickich — włączywszy zawsze szkoły średnie; w samych miejskich szkołach ludowych stosunek ten jest przecież jeszcze gorszy.

Niemniej smutnie przedstawia się w mowie ks. prał. Stychla obraz stosunków szkolnych na prowincyi. Często i na prowincyi znachodzą się szkoły, w których mimo przeważającej większości dzieci polsko- ' katolickich, a bardzo drobnej ilości dzieci ewangielickich, jeden tylko pracuje nauczyciel — i to ewangielik. Są także szkoły z kilku nauczycielami, w których przy równym stosunku liczebnym co do wyznania dzieci szkólnych pierwszą posadę ma nauczyciel ewangielicki, i w których przecież przynajmniej drugą posadę powinnoby się obsadzić nauczycielem katolickim. W niektórych razach zastrzeżono sobie to i otrzymano przychylne zapewnienie; wszelako i tu drugą posadę otrzymuje znowu nauczyciel ewangielik. Mimo to wszystko w tych samych prowincyach poznańskiej i zachodnio-pruskiej zakłada się dla kilku dzieci ewagielickich jeszcze osobne szkoły wyznaniowe, ewangielickie.

Nader ciekawe jest zestawienie ogólnej liczby szkół mieszano-wyznaniowych t. zw. symultannych w całem państwie pruskiem z liczbą tych szkół w samych tylko dzielnicach polskich.

Otóż w roku 1896 było ogółem szkół symultannych w państwie pruskiem 680, z tego przypadało aż 468 na W.

Ks. Poznańskie i Zachodnie-Prusy, to znaczy przeszło dwie trzecie wszystkich szkół symultannych w Prusach. Do roku 1901 liczba szkół symultannych w państwie pruskiem wzrosła do 803. W W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich mamy od roku 1901 — obecnie naturalnie już więcej — 572 szkoły symultanne, a więc znowu więcej niż dwie trzecie wszystkich szkół symultannych w państwie pruskiem.

Liczby te oczywiście tłómaczą jasno, dla czego nowe prawo szkolne nie ma się rozciągać i na nasze dzielnice. Oto rząd poprostu nie chce, by na podstawie tego prawa z takim mozołem przezeń pozakładane szkoły bezwyznaniowe — nie musiały być poznoszone. Rząd wprawdzie postępuje sobie konsekwentnie i logicznie — ale czy sprawiedliwie, — to inne pytanie.

Obrazek tej sprawiedliwości uwydatnia nam także stosunek dzieci szkolnych katolickich do ewangielickich, nauczycieli katolickich i ewangielickich przy szkołach symultannych i wogóle.

Według urzędowej statystyki w W. Ks. Poznańskiem i w Prusach Zach. było w r. 1901 216 049 protestanckich dzieci szkólnych, katolickich 401 398. Nauczycieli miały Zachodnie Prusy i W. Ks. Poznańskie ewangielickich 4251, liczba katolickich 4442. Uderza tutaj to, że liczba dzieci ewangielickich o połowę nieomal mniejsza jest od dzieci katolickich, a pomimo tego liczba nauczycieli ewangielickich dorównuje ilości katolickich nauczycieli. Jaskrawiej przedstawia się to jeszcze przy szkołach symultannych. Uczęszczało do nich w r. 1901 — 55 855 dzieci protestanckich, a 89 396 dzieci katolickich, ale nauczycieli było ewangielickich 1235, a katolickich tylko1085.

Oto pruska sprawiedliwość!

Zapytajmy się wreszcie: czem uzasadnia rząd to nowe odgrodzenie nas — że tak powiemy — od wspólnego korzystania z ulepszonych praw? — Sam rząd odpowiada na to tak:

„Wyłączenie W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich z terytoryalnego zakresu ustawy okazało się potrzebnem dla tego, aby wobec istniejącego tam *naprężenia narodowościowego* uniknąć dalszego *zaniepokojenia*, któremu nie dałoby się zapobiedz przy nowem regulowaniu tych ważnych spraw życia publicznego.“

A więc „naprężenie stósunków narodowościowych“ i obawa przed „zaniepokojeniem“ podyktowały rządowi „potrzebę“ wyłączenia nas z „pod nowej ustawy szkolnej.

To jest przynajmniej jasne i zrozumiałe. Chodzi więc o germanizacyę i o bezpieczeństwo ludności niemieckiej. Trudno bowiem odnosić słowa o zaniepokojeniu do nas Polaków, gdyż mybyśmy się chyba z różnych ulg nowego prawa ucieszyli. Ale rząd boi się, by hakatyści nie uderzyli na alarm — i to byłoby owem zaniepokojeniem.

I ten nowy projekt jest jednym dowodem dla nas więcej, że po ustawach sejmu pruskiego nam nie wolno się niczego spodziewać. Podzielić je bowiem należy na dwie kategorye, t. j. takie, które nam jawnie szkodzą, i na takie, z których nam korzystać nie pozwolą, skoroby nam istotnie korzyść jakąś przynieść mogły. Dowodem: ustawa szkolna i t. zw. prawa wyjątkowe, wszystkim nam dobrze znane.



Zmieniają się ludzie....

Nie tak dawne to lata, gdy podczas manifestacyi socyalistycznych w Krakowie poseł *Ignacy Daszyński* mówił o Polsce, jako o *„nierządnicy w łachmanach,“* a groby królów na Wawelu nazywał grobami *„tyranów ludu polskiego.“*

W ostatnich latach w przekonaniach i taktyce posła Daszyńskiego widoczna zaszła zmiana. Wyciąga on wprawdzie jeszcze w Wiedniu, w parlamencie austryackim z wielkiem upodobaniem wszelkie brudy polskie na jaw ku niezmiernej radości Niemców, coraz częściej atoli uderza także w *ton narodowy*, któremu nic zarzucić nie można. Potrzeba było jednakże dopiero strasznej anarchii w Królestwie, rozpasania się socyalizmu żydowskiego, wrogiego sprawie polskiej, ażeby w tym potomku szlachty polskiej o skrajno czerwonych dążnościach rozbudzić *strach przed odpowiedzialnością za dalsze chociażby bierne popieranie tego kierunku.* Przewrot ten nastąpił w tych dniach. Krakowski „Naprzód“ podobno dopiero po długich walkach, zamieścił przed tygodniem szereg artykułów posła Daszyńskiego — z których przebija się dodatnio — polskie jego *sumienie.* Wzywa on w pierwszym z tych artykułów „towarzyszów w Królestwie, ażeby w działalności rewolucyjnej na ziemiach polskich *zachowali pewną samodzielność,* aby wyemancypowali się z pod wpływu rewolucyjnych partyi rosyjskich. W dalszych dwóch artykułach występuje poseł Daszyński przedewszystkiem przeciwko *dalszemu urządzaniu strejków,* czy to częściowych, czy powszechnych. Bezcelowem wydaje się mu ciągłe zamykanie wszystkich sklepów, kawiarń, restauracyi i cukierń, wstrzymywanie ruchu dorożek i tramwajów. „Dla czegóż bowiem Warszawa, wśród najgorętszych chwil swego rewolucyjnego życia, ma wyglądać jak cmentarz, po którym bez najmniejszej przeszkody mogą krążyć tylko kozacy i patrole żołdactwa? Gdzieindziej sama policya zaczyna od tego, że zamyka wszystkie lokale publiczne, aby uniemożliwić zebranie się grup rewolucyjnych i wpędziwszy ludność do mieszkań, rozbić ją na atomy, nie łączące się chwilowo niczem ze sobą.“ Jeżeli zależało na oddziałaniu na bierne, obojętne sfery burżuazyi za pomocą strejku masowego, to spełnił on już dotychczas znakomicie swoją rolę.

Wykazawszy, że dalsze uprawianie strejków nie oddziała już ani na rząd, ani na społeczeństwo, pisze poseł Daszyński:

„Tak samo niezrozumiałem jest sekundowanie rewolucyjnemu ruchowi w głębi Rosyi przez zastanawianie ruchu np. na prywatnej kolei warszawsko-wiedeńskiej. W Rosyi przerwanie komunikacyi kolejowej może mieć ogromne taktyczne, niemal strategiczne znaczenie. Odległości tam tak wielkie, że przerzucanie mas wojska bez kolei jest wprost wykluczone. Ale zupełnie inaczej przedstawia się sprawa w Królestwie, gdzie centra, jak Łódź, Warszawa, Częstochowa mają liczne załogi wojskowe, i gdzie rząd całkiem spokojnie, bez żadnej straty dla siebie, może przetrwać przerwy czasowe w komunikacyi, *ale za to społeczeństwo nasze, wysoko już w kapitalistycznym rozwoju posunięte, ponosi zupełnie niepotrzebnie ciężkie straty!* Nie mówię tu o stratach bogatych kapitalistów, ale o *cierpieniach samego proletaryatu rewolucyjnego.* Dlaczegoż to bowiem robotnik warszawski ma wśród ciężkiej zimy marznąć z powodu braku węgla, podczas gdy rząd zawsze będzie miał dostateczne zapasy do swojej dyspozycyi? Dlaczego?

„I to wszystko dzieje się z nakazu rewolucyjnej organizacyi polskiej w celu poparcia ruchu rewolucyjnego w Rosyi! Cóż to za poparcie, w którem popierający spełnia na samym sobie pewnego rodzaju *dobrowolne samobójstwo?* Podobne to do owych strasznych strejków głodowych, do tych demonstracyi ludzi zgnębionych i zrozpaczonych, którzy nie mają już sił do niczego innego, jak do biernych męczarni konania z głodu.“

Kończy zaś ten pogląd przywódca socyalistów galicyjskich następującym zwrotem:

„Dzisiejsze strejki u nas, nie mo-

gąc mieć znaczenia ekonomicznego, ani politycznego, stają się demonstracyą, *która wyrządza więcej szkody klasie demonstrującej, niż rządowi lub kontrrewolucyi.* To wystarcza, ażeby z całą otwartością zabrać się do *zmiany tej dotychczasowej* taktyki, bez względu na to, czy ona gdzieindziej przez pewien czas, lub nawet stale jest zwycięską.“

„A więc woła poseł Daszyński w końcu: nie niszczyć samych siebie, nie rujnować społeczeństwa własnego i proletaryatu, lecz zwrócić się wyłącznie przeciw rządowi.“

„List otwarty“ pisze „Nowa Reforma“ posła Daszyńskiego wywoła bez wątpienia silne w opinii publicznej wrażenie. Byłoby tylko do życzenia, aby oddziałał należycie na rewolucyjne komitety robotnicze w zaborze rosyjskim, które, poddawszy się niewolniczo pod terorystyczną komendę rewolucyonistów rosyjskich, całą akcyę swoją wprost na zupełnie błędne wprowadzać zaczęły tory.

My zaś wyrażamy życzenie, ażeby poseł *Daszyński* do reszty nawrócił z błędnej drogi, którą kroczył dotychczas.



Obecne położenie w Rosyi.

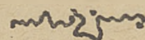
W *Rosyi* po krwawych walkach w ostatnim tygodniu roku zeszłego nastała względna cisza, to jest, tylko w Rosyi *właściwej.* Na *kresach* olbrzymiego państwa, w prowincyach *nadbałtyckich* i na *Kaukazie* wre dalej zacięta i krwawa walka. Rząd stłumiwszy rewolucyę w Moskwie z większą niż przedtem butą i energią zabiera się do zupełnego złamania rewolucyjnego ruchu, dąży zaś do tego środkami najsroższego teroru. Przedewszystkiem wydano w Petersburgu srogie wprost przepisy przeciwko strejkom urzędników, a wykonując je natychmiast, skazano na śmierć i stracono kilkudziesięciu przywódców strejku kolejowego. Równocześnie rozpoczęto prawdziwe obławy na wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób wyróżnili się w walce o wolność. Dziś już przepełnione są nimi wszystkie więzienia — a mimo to aresztowania nie ustają. Pogłoski o niesnaskach w najwyższych kołach rządowych, a także o bliskiem jakoby ustąpieniu Wittego ucichły na razie i cała obecna akcya rządowa ma — przynajmniej pozornie — charakter większej jednolitości. Wszystko to sprawia wrażenie, jakoby rząd carski naprawdę zapanował już nad sytuacyą — co też półurzędowe jego organa głoszą na wszystkie strony „dla uspokojenia opinii w Europie.“

Jedynie też jak się zdaje, ze względu na opinię Europy, rząd zabrał się teraz energiczniej do przeprowadzenia wyborów do *„Dumy“ państwowej.* O ile nowa ordynacya wyborcza rozszerzyła liczbę uprawnionych do głosowania wykazuje fakt, że podczas gdy na podstawie pierwszej ordynacyi naliczono w Petersburgu tylko 12,000 wyborców, ma ich być na podstawie nowej przeszło 70,000. Przygotowania do wyborów nie wyszły jednakże jeszcze po za czynność spisywania list wyborców. Termin wyborów i termin zebrania się „Dumy“ nie jest jeszcze znany. Z rozmaitych objawów wnosić atoli można, że jeźli wybory odbędą się rzeczywiście i jeźli w tym czasie ruch rewolucyjny nie podniesie znów śmielej głowy, rezultat ich będzie bardzo niekorzystny dla konstytucyjno wolnościowego ruchu; odbywać się one będą bowiem pod presyą bagnetów, która nie pozwoli należycie rozwinąć się legalnej opozycyi.

Tak mniej więcej przedstawia się sytuacya w chwili, w której to piszemy. Łatwo atoli być może, że zmieni się ona rychło już bardzo znacznie, że ta pozorna przewaga rządu pryśnie znów pod naciskiem nowych wybuchów rewolucyjnych. Organizacye rewolucyjne ustąpiły wprawdzie na razie z pola, lecz mylnem by było uważać je już za zupełnie pokonane. One same zresztą stanowczo przeczą pogłoskom, jakoby ich siła bojowa była już złamana. Wszystko też przemawia za tem, że przygotowują się one jedynie do dalszej walki, że uzupełniają swoje kadry, przerzedzone stratami w boju i aresztowaniami. W ich szeregi wkradła się wprawdzie niezgoda; coraz widoczniejszym jest wśród nich podział na obóz skrajny i obóz umiarkowany. Jeźli atoli rząd rosyjski dalej tak, jak obecnie „wykonywać“ będzie konstytucyjny ukaz carski, rychło znów spoi cały ruch rewolucyjny w jeden zdecydowany na wszystko obóz. Nie jest też bynajmniej wykluczonem, że już w dniu 22-go b. m., jako w pierwszą rocznicę „krwawych dni petersburskich“ ruch rewolucyjny nowym gwałtownym wybuchem da dowód, że bynajmniej jeszcze nie zaprzestał walki.

Że rządowi rosyjskiemu bardzo chodzi o przywrócenie spokoju w państwie, łatwo zrozumieć można, gdy się zważy, że od tego zależy los tak bardzo mu potrzebnej *pożyczki zagranicznej.* Lecz w autokratycznem swojem zaślepieniu do przywrócenia tego spokoju najniewłaściwszą wybiera on drogę.

Chwilowe to a pozorne zwycięstwo rządu zaciążyło przedewszystkiem nad *Królestwem Polskiem.* Czynownictwo, odzyskawszy dawną zbójecką pewność siebie, stłumi tam każdy odruch narodowościowy w najbrutalniejszy sposób. Niestety, zupełnie bezcelowe porywy socyalistów, które rząd skwapliwie podciąga zaraz pod miano ruchu narodowego, dają czynownictwu coraz nową broń do ręki ku gnębieniu nieszczęśliwego społeczeństwa polskiego. Przechodzi one teraz najcięższą może próbę ogniową, o której nie wiadomo, jak długo potrwa. *Lector.*



Z Królestwa Polskiego.

(Korespondencya oryginalna.)

Dnia 5-go stycznia 1906-go b. r. będąc w interesie własnym u majstra stolarskiego p. Kujawińskiego w mieście Koninie, napadnięci zostaliśmy w jego pracowni przez dwóch oficerów dragońskich: Lesnobrodzkego i Zamkowicza, z których pierwszy lewą ręką zamknął drzwi, w prawej trzymał rewolwer,drugi przyłożywszy Romanowi Szmytowi do piersi rewolwer, zawołał „ubiju jak sobaku,“ następnie ten sam manewr wykonał na osobie Kujawińskiego, ale w tej chwili z młotem żelaznym wpadł na Zamkowicza białowłosy 80 letni ojciec Kujawiński i krzyknął: łeb ci rozwalę jak mi syna zabijesz;“ to poskutkowało, ale Zamkowicz odrazu wysunąwszy szufladę, wyjął z niej orzełka polskiego rzeźbionego z deseczki, jeszcze nie wykończonego (widoczna denuncyacya) i zaaresztowano nas: Ksawerego Kujawińskiego (syna), Romana Szmyta i rzeźbiarza Piotra Niewierowskiego, przetrzymano w lochu 4 łokcie długim 1 i pół szerokim przez dobę, spisano protokół w powiecie, Romana Szmyta, jako obcego bo z Kalisza puszczono, Kujawińskiego i Niewierowskiego zatrzymano. Oto wolność słowa i nietykalność osoby! — Denuncyował nie z naszych, lecz jakiś Fedorow. — Dodać wypada, że za wstawieniem się Burmistrza miasta Konina, R. Szmyta zwolniono, słabowitych, przetrzymanych w norze: Kujawińskiego i Niewierowskiego za poręczeniem jednego z majstrów krawieckich i żony Kujawińskiego oddano do szpitala; obywatele Konińscy pochowali się ze współczucia nad pochwytanymi ziomkami.

Jeden z aresztowanych.



Z niwy politycznej.

W przededniu konferencyi w Algesiras świat cały zajmuje się sprawą *marokańską* i stanowiskiem interesowanych mocarstw. Udział w konferencyi biorą oczywiście wszystkie większe państwa europejskie, więc oprócz najwięcej interesowanych Niemiec i Francyi, Anglia, Austrya, Włochy, Hiszpania — a nadto po raz pierwszy Stany Zjednoczone Północnej Ameryki. Szczególne budzi zainteresowanie pytanie, jaki wpływ mieć będzie na przebieg i wynik konferencyi obecna niemoc Rosyi, która dawniej pierwsze w koncercie Europy grała skrzypce.

Groźne chmury wojenne jakie się zdawały zbierać nad horyzontem francusko-niemieckim zdają się rozpływać w wieściach i życzeniach pokojowych.

Drugą sprawą europejskiego znaczenia, to wybory prezydenta republiki francuskiej. Kto będzie następcą Loubeta? — to pytanie obchodzi prasę, ale na razie pewnej odpowiedzi nie znajduje. Wciąż jeszcze ważą się losy pomiędzy *Doumer'em* — a *Fallieres'em*.

Niemniej ciekawości budzi walka o ster rządowy w *Anglii*. Campbel-Bannermann powołany został do steru, kiedy stronnictwo jego w izbie posłów większości nie posiadało. Robi też obecnie nadzwyczajne wysiłki, by większość, a tem samem i ster zdobyć. Przeciwnicy nie zasypiają również gruszek w popiele, także zażarta w Anglii toczy się obecnie walka wyborcza.

Austro-Węgry — nowy w ubiegłym tygodniu dały dowód swej życzliwości ku Słowianom. Wyzyskiwane *Serbia* i *Bułgarya* zgodziły się na zawarcie między sobą unii celnej. Austro-Węgry założyły protest, unia nie przyszła do skutku, innemi słowy Serbia i Bułgarya w dalszym ciągu wystawione zostaną na wyzysk swej opiekunki Austryi. I to się dzieje pod kierownictwem *hr. Gołuchowskiego* — Polaka, a więc również Słowianina. Rozchodzą się pogłoski, że stanowisko Gołuchowskiego w Austryi zachwiane. Czy prawda?



Korespondencya z Galicyi.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Kraków, dnia 10-go stycznia 1906.

(Sprawa reformy wyborczej. — Projekt rządowy i jego widoki. — Sprawa urzędników. — Zbiegowie z Rosyi. — Smutne wieści o Wyspiańskim.)

Nasze życie publiczne stoi zawsze jeszcze pod znakiem zapowiedzianej przez Wiedeń *reformy* ustawy wyborczej do Rady państwa czyli parlamentu austryackiego. Z chwilą, gdy rząd wystąpił z tą reformą, ustały wprawdzie u nas hałaśliwe demonstracye socyalistyczne na rzecz powszechnego prawa głosowania, za to tem zaciętsza walka rozpoczęła się w całej prasie i na zgromadzeniach publicznych. Powoli też sytuacya zaczyna się wyjaśniać. Za reformą, opartą na powszechnem prawie głosowania oświadczają się tylko dwa stronnictwa, a mianowicie socyalni demokraci i starzy *demokraci krakowscy*, warunkowo także i „katolickie centrum“ — nowe stronnictwo, utworzone świeżo z posłów księży i posłów słowiańskich przez posła ks. *Pastora* i ks. *Stojałowskiego*. To stronnictwo żąda między innemi podwójnych głosów dla wyborców, którzy są ojcami rodzin. Stanowczo i bezwzględnie przeciwni są takiej reformie *„Podolacy“* (szlachta podolska) i konserwatyści krakowscy (*„Stańczycy“*), warunkowo przeciwni „narodowi demokraci“ (*„Wszechpolacy“*) i umiarkowani zachodnio- galicyjscy demokraci. Główne przyczyny, które te cztery stronnictwa pobudzają do oporu przeciwko zaprowadzeniu powszechnego równego prawa głosowania, wymieniłem już w dawniejszych moich korespondencyach i artykułach. Są to: obawa przed utratą wschodnio-galicyjskich okręgów wyborczych na rzecz *Rusinów* i obawa przed pomnożeniem się liczby posłów *skrajnie radykalnych*. Obie strony tak zwolennicy jak i przeciwnicy zapowiedzianej reformy rozwijają gorliwą agitacyę w swoim kierunku, przyczem konserwatyści używają zwykłego swego sposobu, machinacyi zakulisowych w Wiedniu, zwłaszcza na dworze, ażeby postawić na swojem.

Zdaje się jednakże, że obawy przeciwników powszechnego prawa głosowania rychło w innym zwrócą się kierunku, a jego zwolenników rychło spotka zawód. To bowiem co donoszą z Wiednia o treści wypracowanego podobno już projektu rządowego wskazuje, że w projekcie tym będzie wszystko, *tylko nie powszechne równe prawo głosowania*. Rząd, jak się zdaje, pragnął uwzględnić rozmaite tak sprzeczne interesy poszczególnych narodowości i stronnictw w Austryi i na tej podstawie stworzył prawdziwy *dziwoląg ustawy wyborczej*. Przedewszystkiem, jak słychać, starał się zapobiedz *zmajoryzowaniu Niemców* w Radzie państwa. Aby to osięgnąć zmuszony był dla każdego niemal kraju koronnego *inny* wypracować modus wyborczy. Jest więc podobno w tym projekcie rządowym absolutnie tak zw. *„pluralne“* prawo głosowania, jest głosowanie pośrednie i bezpośrednie, jest cenzus podatkowy i specyalne uwzględnienie miast, są kurye powszechne i narodowe, słowem prawdziwa mozajka najrozmaitszych systemów. A podział okręgów wyborczych ma być arcydziełem sztucznej geometryi polityczno-wyborczej. Dla nas najważniejsze to, że — według obiegających dotychczas pogłosek, *Galicya ma być w tym projekcie pod każdym względem bardzo upośledzona*, przedewszystkiem zaś pod względem przynajmniej jej *liczby mandatów*. Pewnego dotychczas co do tego nic niewiadomo. Projekt rządowy ma być przedłożony parlamentowi dopiero w końcu stycznia lub w początkach lutego. Za tydzień atoli mają się już rozpocząć układy, a raczej targi między rządem a przywódzcami poszczególnych klubów i stronnictw. Wówczas też dowiemy się zapewne, na co się zanosi. Jeźli atoli sprawdzą się pogłoski dziś obiegające, nie ulega wątpliwości, że wszystkie polskie stronnictwa, z wyjątkiem naturalnie socyalnych demokratów, *połączą się ściśle i zwrócą się solidarnie przeciwko pokrzywdzeniu Galicyi*.

Jest też rzeczą wcale możliwą, że jeśli rząd zanadto uwzględnił w swoim projekcie Niemców i ich narodowe interesy, projektowana przez niego reforma wcale nie przyjdzie do skutku. Co potem nastąpi, nikt dziś przewidzieć nie może.

Obok tej sprawy nie schodzi z porządku dyskusyi publicznej sprawa *sanacyi położenia urzędników*. Już w artykułach moich z Galicyi pisałem obszernie o nadmiernem *obdłużeniu* urzędników tutejszych (galicyjskich) tak państwowych jak i autonomicznych. Trudną ich i tak już wskutek tego sytuacyę ekonomiczną pogarsza jeszcze wzmagająca się z dnia na dzień drożyzna, której przyczyną są niepomyślne konjunktury rolnictwa, w większych zaś miastach nadto ogromny napływ zbiegów z Królestwa i innych ziem polskich pod rządem rosyjskim. Dość powiedzieć, że tylko w Krakowie jest zbiegów tych 5—6000! Urzędnicy domagają się więc uregulowania ich długów przez jaką utworzyć się mającą instytucyę finansową i podwyższenia pensyi. Rząd wobec tej agitacyi zachowuje się dotychczas biernie lub też wprost niechętnie, zasłaniając się złym stanem finansów państwowych.

Wracając do owych zbiegów z Rosyi — zaznaczyć muszę, że jest między nimi bardzo dużo, bo conajmniej 3000

osób, *z inteligencyi z Królestwa*, a zwłaszcza *z Warszawy*. Schronili się oni tu głównie przed teroryzmem rządu i *socyalistów* i zamierzają odczekać spokojniejszych czasów w Królestwie. Następstwem tej imigracyi jest przedewszystkiem ogromne podrożenie *mieszkań. Mniejszych*, np. dwupokojowych mieszkań, wogóle już dostać nie można. Obok tych sympatycznych gości — bo rodzonych braci — napłynęło tu atoli także mnóstwo *bardzo niepożądanych, bo żydów rosyjskich*, uciekających przed pogromami. Główna kwatera kobiet i dzieci tych przybyszów znajduje się na Kazimierzu w domu przy ul. Skawińskiej nr. 10. Mężczyzni mieszczą się w hotelach i domach zajezdnych. W lokalu przy ul. Skawińskiej są wychodźcy przeważnie z Odessy, Kijowa, Żytomierza, Kiszyniewa, Jekaterynosławia. Wojskowość wypożyczyła komitetowi potrzebne sienniki, poduszki i koce. W lokalu tym słychać przedewszystkiem płacz dzieci, których tu jest przeszło 40. Wychodźcy opowiadają straszne sceny z pogromów; jednemu z nich zabito ojca, innemu brata i matkę. Uciekali w tem, co mieli na sobie i w tem przybyli, niektórzy w letnich jeszcze ubraniach. Utrzymanie tego zastępu ludzi, pozbawionych przeważnie wszelkich środków do życia, przedstawia niemałe trudności. Stowarzyszenie wiedeńskie „Alliance Israelite“ przysyłało swego delegata dwa razy na tydzień do Krakowa i ten wypłacał wychodźcom 66 hal dziennie na osobę na utrzymanie, zaś dla dzieci po 40 hal. Przez pewien czas kuchnia ludowa na Kazimierzu dostarczała wychodźcom obiadów, na które otrzymywali od krakowskiego komitetu bilety po 40 halerzy. W ten sposób mieli zapewnione całodzienne utrzymanie. — W ostatnich dniach zmieniło się położenie. Komitet dla braku środków nigdzie na zachód wychodźców wysyłać nie może i nie wysyła, tem więcej, że Niemcy, Anglia i Ameryka stawiają trudności. Komitet wysyła, o ile to możliwe, wychodźców do miejsc ich dawnego zamieszkania tam, gdzie już spokój nastąpił, bo w Krakowie wśród obecnych stosunków niema dla nich odpowiedniej pracy, nie mają też książeczek robotniczych. Onegdaj wyjechało stąd przez Bogumin 40 wychodźców do Ameryki, mających odpowiednie na drogę własne środki. Zatrzymali się, w Boguminie, czekając na wyniki konferencyi, urządzonej we Frankfurcie, a mającej objąć opiekę nad wychodźcami rosyjskimi i obmyśleć dla nich na Zachodzie takie miejsca pobytu, gdzieby mogli znaleść zatrudnienie. Sami wychodźcy są bierni i każdej chwili gotowi jechać, gdzie ich wyślą komitety miejscowe lub zagraniczne. Konferencya frankfurcka ma podobno dążyć do urządzenia w Boguminie centralnych baraków, gdzie wychodźcy znajdowaliby opiekę i przytułek i stamtąd mogliby być dalej wysyłani. Krakowski komitet wysłał już kilkudziesięciu wychodźców z powrotem do Rosyi.

Jeżli nie powiedzie się rychło usunąć ich ztąd, pomnożą oni tylko szeregi proletaryatu żydowskiego, tak strasznie ciążącego nad całą Galicyą.

W chwili gdy to piszę, rozchodzi się wieść, że wielki poeta i artysta *Stanisław Wyspiański* jest dogorywającym. Po krótkiem polepszeniu nastąpiło tak znaczne pogorszenie, że lekarze stracili już rzekomo ostatnią nadzieję utrzymania go przy życiu.

Galicyanin.



Szkolnictwo polskie w Ameryce.

Z miasta Montreal w Kanadzie w Ameryce Półn. odbieramy z kół dobrze poinformowanych następujące ciekawe szczegóły, odnoszące się do przeszłości i obecnego stanu szkół polskich w Ameryce. Sprawa ta w tej chwili, jest tem więcej aktualną ponieważ dzięki objazdowi J. E. ks. arcyb. Symona zainteresowanie naszą kolonią amerykańską jest bardzo wielkie. Korespondent nasz pisze:

„Jedna z gazet lwowskich ogłosiła wiadomość, że J. E. ks. arcyb. Symon zamierza otworzyć w Krakowie Seminaryum polsko-amerykańskie, podając za powód, że Seminaryum polskie istniejące tu w Ameryce w Detroit nie odpowiada swemu zadaniu.

Pozwoli więc Szanowna Redakcya, że nawiązując do treści artykułu pisma lwowskiego, w kilku słowach poinformuję Czytelników „Pracy“ o kwestyi szkolnictwa polskiego w Ameryce.

Istnieją tu szkoły polskie parafialne (elementarne) choć dość liczne, przecież nie wystarczające, — lecz przedewszystkiem, z wyjątkiem nie wielu, ustępują one, pod niejednym względem szkołom publicznym. — Jasna rzecz, trudność tu wielka: bo trzeba dziecku zapewnić na przyszłość chleba kromkę, a więc nauczyć je dobrze języka angielskiego; trzeba mu przecież zachować polskość — i tu trzeba w nie wpajać zasady mowy ojczystej.

Najczęściej kierują szkołami naszemi Siostry Zakonne (z polskich: Zgromadzenia św. Nazaretanek, Felicyanek i Zmartwychwstanek); — podołać one nie mogą zadaniu, już to dla braku sióstr nauczycielek wogóle, już też w szczególności dla braku takich Sióstr, któreby władały doskonale i językiem polskim i angielskim. — Smutno przecież wyznać, że i rodzice polscy bardzo często, mimo, że szkoła polska jest pod ręką, posyłają swą dziatwę do szkół angielskich i w domu pozwalają dzieciom szczebiotać po angielsku.

Obecnie wiele osób szlachetnie myślących zajęło się sprawą założenia Seminaryum nauczycielskiego, którego istnienie jest nieodzownem, gdyż chodzi tu nie tylko o ludzi władających obu językami, ale zarazem o pedagogów — a już tej podwójnej kwalifikacyi zaradzić można li tylko przez Seminaryum nauczycielskie.

Jest to instytucya w obecnej dobie również konieczną jak Seminaryum duchowne, bo dobry nauczyciel i dobra szkoła potrafi naszą emigracyę zachować przy narodowości i religii, a zarazem zapewnić byt materyalny przyszłym obywatelom.

Istnieją też w Ameryce dwa zakłady gimnazyalne, lecz niestety dwa tylko na półtrzeciamilionową ludność polską, a przecież powiedziałbym, że i tego za wiele. Czyż może Emigracya tak jest wybredną, że oba te gimnazya nie potrafią wielu zadowolić? Nie chcę przesądzać, ale codzienne życie pokazuje, że częstokroć od swych zakładów wymagamy doskonałości, a zadawalniamy się miernotą zakładów obconarodowych. Gimnazyum Stanisława Kostki w Chicago prawdopodobnie ma takie dane, że zwłaszcza pod względem nauczycielskim powinnoby się lepiej prezentować, ale koniec końcem może i nie ustępuje zakładom angielskim. Nie brak tam przecież ferworu patryotycznego, choć poważniej należałoby traktować naukę piśmiennictwa polskiego. Co jednak najwięcej w oczy bije, to fakt, że gimnazyum to za małe jest na ludność polską liczącą w Chicago 250 tys., a przecież frekwencya uczniów jest tak mierną, że z taką samą istniećby żaden podobny instytut u Was nie mógł.

Drugie, lecz starsze gimnazyum polskie istnieje w Detroit, gdzie również istnieje kurs teologiczny, dziś niestety tylko wegetujący. W Detroit siły nauczycielskie są prawdopodobnie poważniejsze, a w każdym razie gimnazyum chicagoskie nie może się wykazać takim profesorem Machnikowskim lub prof. Piątkowskim, którzy dla tego że są nauczycielami z powołania, potrafią z zamiłowaniem swój zawód traktować i zagrzać młodzież kolegium detroickiego miłością Ojczyzny, a w każdym razie zakład ten w kursie gimnazyalnym wykazuje rezultaty bardzo poważne. Raz tylko popełniło kolegium detroickie fatalny błąd, przyj-

mując do grona nauczycielskiego figurę niewyraźną, dziś redaktora pewnego pisma, który w katolickim zakładzie stal się szermierzem zasady: religia rzeczą prywatną, a w praktyce zupełnie ją pomijał.

Pomimo więc, że dwa tylko gimnazya posiada Emigracya, frekwencya w nich jest bardzo mierna, zważywszy, że oba są w centrach polskości. Reszta młodzieży z miejscowości oddalonych szuka miejsca w zakładach angielskich, a nawet niemieckich, gdzie kala do reszty już tak zepsuty język. Jest nadzieja przecież, że powstanie nowe polskie gimnazyum tak bardzo potrzebne we wschodniej Ameryce t. z. między Bostonem, Springfeld, Providence a Nowym Yorkiem.

Smutniej przedstawia się sprawa nauki teologicznej. Polscy aspiranci do stanu duchownego dawniej skupiali się w seminaryum polskiem w Detroit. Od czasu jednak smutnej pamięci wybryków strejkowych, biskupi wysyłają swych alumnów polskich do seminaryów angielskich, i tak widzimy kilkudziesięciu kleryków polskich w St. Francis, kilkunastu w Baltimore, w Filadelfii, w Nowym Yorku i w innych. Oczywista, teologia ta sama wszędzie, prawowierna- katolicka, ale wpływ otoczenia zgubny dla naszych kleryków. Najważniejsze to, że po tych seminaryach nie mogą należycie robić postępów w znajomości języka polskiego, boć poniekąd istnieją nakazy, by się klerycy porozumiewali w języku przystępnym dla przełożonych, a znowu wielu tych kleryków słabo bardzo włada językiem ojczystym, kształcąc się przedtem w gimnazyum angielskiem. Co najgroźniejsza, to właśnie owa idea panamerykanizacyjna, której bardzo sprzyja prałatura amerykańska, i w najkrótszym czasie chcianoby się pozbyć rónorodności językowej. I niech nikt nie wątpi, że ta idea nie przyjmuje się w sercach i umysłach młodych kleryków polskich, tych oczywista, którzy nie odebrali wychowania w kolegium św. Stanisława, ani w Detroit.

Od kogo to zależy, by kleryków polskich skierować ku seminaryum detroickiemu, rozstrzygać nie myślę, prawdopodobnie jednak biskupi byliby temu przeciwni. Możeby księża Zmartwychwstańcy potrafili w Chicago stworzyć kurs teologiczny, a ludzi im nie brak, ni w Rzymie, ni w Galicyi.

Zwrot stanowczy nastąpić musi, bo dobro nasze i religijne i narodowe tego wymaga, by klerycy polscy kształcili się w polskiem seminaryum. Polsko-amerykańskie seminaryum potrafiłoby i złemu zaradzić i wpływ zbawienny wywrzeć na przyszłe duchowieństwo polskie w Ameryce, a przez nie na całą naszą Emigracyę.

Dziś może nie brak poczucia patryotycznego w Polonii amerykańskiej, ale w młodszem pokoleniu, w tem które tu się rodzi i po obcych zakładach wychowuje, ono gaśnie i wymiera.

Duchowieństwo polskie potrafi nam zachować te miliony ludu polskiego, ale duchowieństwo wykształcone i zagrzane miłością Ojczyzny. Gdzież zaś czerpać tego ognia, jeżeli nie tam, gdzie króle i bohatery, męczennicy i wyznawcy wraz z mistrzami sztuki ze wspólnego grobu przypominają obowiązki względem religii i ojczyzny. Z największą radością powitać należy ten plan J. E K. Arcyb. Symona, a ufać możemy, że synowie św. Wincentego, XX. misyonarze nie zrażą się możliwemi trudnościami, lecz dobro narodu mając w sercu, urzeczywistną tę idealną myśl, wychowując Emigracyi polsko-amerykańskiej duchowieństwo prawowiernie katolickie i szczerze polskie.

Od duchowieństwa zależy, czy trzymilionowa Emigracya zostanie polską.

Z serdecznem pozdrowieniem

Leon Józ. Jandy.



Przegląd prasy.

Projekt wywłaszczenia — o którym pisaliśmy w ostatnim numerze „Pracy“ w artykule wstępnym, wywołał w prasie polskiej głośny wyraz oburzenia i protestu. W tym pierwszym wylewie uczuć zapomniano ogólnie zwrócić uwagę na jakie napotka zapory przeprowadzenie tego „szalonego, zbrodniczego i szatańskiego projektu,“ jak go nazwało jedno z pism naszych. Zapory te jednakże zasługują na uwagę, ponieważ zdołają one projekt cały sparaliżować. W pierwszym rzędzie należy tutaj wymienić fakt, że kolonizacya nie znajduje od samego początku swego istnienia dostatecznej ilości kolonistów. Wiadomo, że ostatniemi szczególnie czasy zakupionych większych majątków nie dzielono na mniejsze osady, lecz zachowywano w całości — jako domeny królewskie.

Drugą zaporą jest zastrzeżenie prawne, nakazujące wywłaszczonemu wypłacić „stosowne“ odszkodowanie. Otóż według prawa należy się wywłaszczonemu nie tylko cena ziemi, według istniejącej w danej chwili normy, lecz policzone mu winny być możliwe korzyści, jakieby z odebranego mu kawałka ziemi mógł odnieść w przyszłości. A ponieważ chodzi projektowi „Koeln. Ztg.“ o wywłaszczenie ziemi polskiej w pobliżu miast, a ziemia ta dzięki możności łatwego zbytu rolnych produktów wysoko stoi w cenie, skutkiem tego komisya kolonizacyjna wymagałaby ogromnego nakładu. Obliczono wprawdzie, że na wykupienie wszystkiej ziemi z rąk polskich podobno wystarczy 4000 milionów marek — w co niekoniecznie nam się wierzyć chce — ale nawet i tej sumy rząd pruski tak łatwo nie będzie mógł wybić na uwolnienie się od — polskiego niebezpieczeństwa.

Poza tem i opinia niemiecka projektem tym nie bardzo jest zbudowana. Oczywiście mowa tutaj o opinii niehakatystycznej. Toż hakatystom pokroju „Pos. Tageblattu“ nawet ten projekt nie wystarcza. Podawszy bowiem ów projekt, powiada on, że prawo wywłaszczenia „może rzeczywiście *najniezbędniejszym* (!) zapobiedz brakom.“ Więc tylko najniezbędniejszym! Czemu? — bo „Pos. Tagebl.“ wówczas dopiero czułby się zadowolonym, gdybyśmy się naprawdę zniemczyli, a z drugiej strony bezwiednie odczuwa, że i najostrzejsze, najwięcej drakońskie prawo — *serca z piersi i języka z ust wyrwać nam nie zdoła.*

Mamy jednakże i inny wyraz opinii niemieckiej, i to głos niemniej nieprzychylnego nam „Berl. Tagebl.“ Projekt „Koeln. Ztg.“ jest według niego „fałszywą drogą w polityce antypolskiej“ i pisze o nim mniej więcej tak:

Projekt wywłaszczenia nazywa „niebezpiecznym dla germanizacyi kresów wschodnich“, i zaprzecza przedewszystkiem temu, jakoby pochodził istotnie z kół rządowych. Ma on być raczej upustem myśli *dobrych* Niemców ale *złych* polityków.

Przyznaje pomimo tego racyę projektowi, że rząd ma prawo wywłaszczenia, nie godzi się atoli na to, jakoby „dobro publiczne“ a „interes państwa pruskiego“ w zgermanizowaniu wschodu — było jedno i to samo. Prawo wywłaszczenia — powiada — uważa jako „przyczyny publicznego dobra“ li tylko ogólne potrzeby ekonomicznego — gospodarczego rozwoju, lub publicznego bezpieczeństwa np. budowy kolei, koszar, fortec lub budynków administracyjnych. W żadnym razie nie może być „dobro publiczne“ pojmowane jako interes *polityczny* państwa albo pewnej *tylko części* jego obywateli. „Kto tego pragnie — pisze dosłownie — ten *niweczy najwyższe pod-*

stawowe prawo pruskiego życia politycznego i pruskiej konstytucyi, niweczy bowiem zasadę „równe prawo dla wszystkich“.

Gdyby słowa te wypowiedziane były szczerze, stanowiły by bezwarunkowo przestrogę dla hakatystów i rządu pruskiego. W szczerość ich jednak wierzyć nie możemy. Bowiem „Berl. Tagebl.“ i jemu podobne „wolnomyślno-żydowskie“ pisma często wykazywały przy projektach ustaw wyjątkowych niezgodność ich z istniejącem prawem, potem jednakże się godziły na ustawy wyjątkowe z tem zastrzeżeniem: rząd zrobił, rząd będzie odpowiadał za nie. Tak niewątpliwie być może i teraz.

Krytyka „Berl. Tagebl.“ wydaje nam się dla tego podejrzaną, gdyż zamiast z przestrogą swoją zwrócić się do rządu, by nie pozwolił się brać na kawał hakatystom, zwraca się z nią do nas i powiada, że podobne projekty mogą przyjść pod obrady pruskich izb ustawodawczych, jeżeli nadal tak ostro zwalczać będziemy niemczyznę.

A więc w gruncie rzeczy przypuszcza „Berl. Tagebl.“ możliwość takiego projektu, a nawet uzasadnia go *„naszem“* ostrem zwalczaniem niemieckości.

O obłudo!

* * *

W ścisłym związku z powyższą sprawą pozostaje omówienie *polityki kolonizacyjnej* w prasie niemieckiej przez znane powagi polityczne.

Rzecz niesłychana, urzędnik pruski, landrat, nazwiskiem v. *Dewitz* omawia w grudniowym zeszycie „Deutsche Monatsschrift“ działalność komisyi kolonizacyjnej w barwach jak najczarniejszych i proponuje, by komisya ta działalność swą *zawiesiła!* Nie czyni tego jednak, jakby sądzić nieomal można, z przychylności dla Polaków, lub by wogóle z polityki germanizacyjnej skwitować, lecz po to, by zaproponować inny kierunek tej polityki, a mianowicie, aby *każdą sprzedaż własności niemieckiej zrobić zależną od pozwolenia prezesa regencyi.* Chodzi mu więc o to, by przedewszystkiem utrzymać stan posiadania ziemi w rękach niemieckich, a także i o to, by wymianę ziemi pomiędzy właścicielami Polakami ograniczyć jaknajbardziej. Pan v Dewitz poleca także wypłacanie nagród dla tych robotników, którzy na wschodzie przepędzą lat 5 — i to aż 500 mk. w gotówce.

Te projekty p. Dewitza napotkały na ostrą odpowiedź znanego prof. Delbrücka, który je nazywa oburzającymi a w Poznańskiem niewykonalnymi ze względu na brak nabywców — Niemców.

Przyznaje atoli prof. Delbrück artykułowi Dewitza o tyle znaczenie, że ze stanowiska „najzacieklejszego hakatyzmu otwarcie przyznaje, że *polityka kolonizacyjna do celu nie prowadzi.*“

Tak oto patrzą na działalność komisyi kolonizacyjnej i jej skuteczność sami Niemcy, szczerzy patryoci, ludzie, którzy zresztą jak najgoręcej pragną naszego wynarodowienia.

Być może, że ostatni projekt antypolski, projekt wywłaszczenia Polaków pojawił się właśnie dla tego, że hakatyści i rząd czują swą niemoc wobec spokojnej, cichej obrony w objęcia niemczyzny pchanego żywiołu polskiego.

* * *

Opieszałość w służbie publicznej — karci „Postęp“. Podnosi on, że podczas ostatniego zebrania rady miejskiej, na którem rozdzielano różne „honorowe“ urzędy miejskie, domagali się Polacy większego uwzględnienia swoich kandydatów w różnych komisyach. Na to odpowiedziano ze strony niemieckiej, że Polacy wogóle nie chcą przyjmować tych urzędów, a gdy przyjmą, to sprawują je źle. *„Postęp“* przyznaje, że zarzut ten zupełnie jest słuszny i tak pisze dalej:

„Już od dawniejszych lat to się dzieje, że polscy obywatele unikają wszelkich urzędów honorowych pod najrozmaitszymi pozorami, a po części z braku czasu lub nadwątlonego zdrowiem. Są to dwa tak utarte pozory, że przeszły w zwyczaj wymówek.

„Większa część naszego polskiego obywatelstwa i do tego inteligentniejszego i mienniejszego od wszelkich prac społecznych stanowczo się usuwa. Nie można ich dostać do żadnych zarządów ani komitetów polskich, zawsze i wiecznie nie mają czasu lub są chorymi. Ztąd tak nam bardzo braknie ludzi do pracy publicznej polskiej.

„To samo dzieje się z honorowymi urzędami miejskimi, gdzie niejeden Polak mógłby dla miasta jak i dla naszej sprawy polskiej niejedną przysługę wyświadczyć. Ale gdzież tam, wygodne życie tym panom na sprawianie nawet lekkich obowiązków publicznych nie pozwala. Niejeden z naszych „chłop zdrów jak ryba“, że tak się trywialnie wyrazimy, do niczego ręki nie przyłoży co pachnie pracą publiczną czy to narodową, czy też miejską i zastawia się chorobą lub brakiem czasu, a tymczasem ten czas marnuje marnie na różnych wygódkach, albo na karty lub knajpiarstwo.

„My tak mało mamy wpływu na sprawy miejskie, więc jeżeli kogo poproszą z naszych na urząd honorowy, tośmy powinni z największą skwapliwością ów urząd przyjąć, a nie odmówić.“

Zupełną racyę ma „Postęp“. To wymawianie się od obowiązków obywatelskich i publicznych — a niepłatnych, i to pod pozorem braku czasu lub choroby — istotną stało się chorobą czasu. I dzieje się tak, że istnieje kilka, a w najlepszym razie kilkanaście tylko jednostek dobrej woli, które cały ciężar publicznego życia na swoich dźwigają barkach. I może myślicie, że ogół jest im wdzięczny za to? — Nie — przeciwnie tworzy on całe plejady złośliwych krytyków, z pośród których ci właśnie najwyżej głos podnoszą, którzy danego urzędu nie przyjęli. Wygląda to na to, jakby się pochwalić chcieli, że spełniliby urząd ten lepiej. Jest to — po prostu lekceważenie spraw życia publicznego, spraw obowiązków obywatelskich, spraw często bardzo ważnych.

A jakie są skutki tego? — Rozejrzyjmy się po dzielnicy naszej. Niejednokrotnie na karb tej opieszałości w służbie publicznej — należy policzyć to, że w radach miejskich zasiadają Niemcy szczególnie po tych miastach, gdzie liczebnie żywioł polski jest górą, a stan majątkowy mniej więcej równy. W takich radach oczywiście Niemcy spełniają wszelkie względem ludności polskiej usługi obywatelskie, zasiadają w komisyach np. podatkowych, procederowych, mają urzędy rozjemców dla biednych miasta. Nic więc dziwnego, że owi Niemcy — o ile mogą — popierają Niemców, a Polaków się pozbywają. Potem krzyk, lament nad niesprawiedliwością niemiecką — bez racyi, bo winy tego wszystkiego zaiste szukać należy w opieszałości naszej. My do tej sprawy powrócimy osobno jeszcze i podejmiemy walkę przeciwko wymawianiu się od urzędów — z całym naciskiem.

* * *

Okólnik ks. arcybiskupa złączony ze znanym listem cesarza Wilhelma wywołał mnóstwo artykułów.

Prasa niemiecka przypisuje mu szczególne znaczenie *polityczne* i uważa go za rodzaj *napomnienia* dla ks. arcybiskupa, ażeby pracował nad utrwaleniem wierności poddańczej w polskiem społeczeństwie.

Oczywiście, że prasa niemiecka czyta tutaj więcej pomiędzy wierszami, aniżeli tam istotnie napisano. Bez wszelkiego uprzedzenia upatrywaćby

raczej w liście cesarskim należało zwykły wyraz przeczności, nie przywiązując doń żadnego znaczenia.

Prasa polska — szczególnie „Orędownik“ — traktuje okólnik z nadzwyczajną ostrożnością, na co my się zupełnie godzimy. Okólnik ks. arcybiskupa — pomimo niezwykłego dodatku listu cesarskiego — dla nas jako katolików pozostaje aktem kościelnym, a jako taki nie podlega takiej krytyce, jakiejby nie mógł uniknąć, gdyby był aktem istotnie politycznym.

Myśl *pozbycia się Król. Polskiego* naprawdę powstała w Rosyi. Nie stało się to naturalnie bezpośrednio. Przeciwnie, gdy reakcya rozpoczęła na nowo swój pochód do gwałtów i mordów, rozpoczęto o Polsce szczególnie rozgłaszać wierutne kłamstwa. Np. bardzo poważny organ, „Słowo“, stojące pod wpływem Wittego napisało z całą powagą, że jeżeli powstanie *Łotyszów* nie zostanie zduszone, to powstaną i inne narody, naturalnie także i Polacy.

Rzecz naturalna, że w obecnem położeniu najważniejszem jest pytanie: co zrobić z tymi narodami, które zamęt rosyjski zwiększają?

W tem samem „Słowie“ odpowiada ktoś z Rosyan, że Polaków należy się pozbyć, zostawić ich własnemu losowi, trzeba zburzyć fortece, wyprowadzić wojsko z Polski, a wtedy Rosya stanie się silniejszą na granicy zachodniej i będzie mogła trzymać mniej wojska u siebie, zwłaszcza, że musi mieć potężną armię w Mandżuryi przeciw Chinom i Japonii. Drugą korzyścią dla Rosyi z opuszczeniem Polski będzie pozbycie się ogromnej ilości żydów. Trzecia korzyść byłaby natury ekonomicznej, gdyż fabryczny kraj polski wzbogaca się kosztem rosyjskich okręgów przemysłowych. Nie będzie miała Rosya Polski, to utworzą się w niej nowe rynki fabryczne, które dadzą zarobek milionom.

Oczywiście nikt nie uwierzy, by Rosya w myśl tego projektu miała postąpić. Oto też zapewne owemu projektodawcy nie chodzi, lecz raczej o budzenie nienawiści do Polaków, co zresztą przyznaje sam.

„Straż“.

Jak bardzo solą w oku dla Niemców jest „Straż,“ na dowód tego niech posłuży następujące pismo p. dr. Englicha, starosty bydgoskiego:

„Celem poinformowania tutejszej ludności, często dopytującej się o wiec „Straży,“ proszę uprzejmie o łaskawe ogłoszenie smutnej wiadomości, że wiec taki odbyć się nie może, ponieważ *wszyscy posiedziciele sal w Bydgoszczy i w przedmieściach odmówili udzielenia sali na cele „Straży.“*

Zarazem składam serdeczne podziękowanie pp. posłom dr. Alfredowi Chłapowskiemu i dr. Niegolewskiemu, oraz pp. dr. Gantkowskiemu i dr. Jaworskiemu za zamiar przybycia na wiec, który miał się odbyć 14-go b. m., i przemówienia na nim.

Dr. Englich,
starosta „Straży“ w Bydgoszczy.“

Komentarze tej wiadomości są zbyteczne. Może owi panowie właściciele sal sądzą, że swoją odmową sal na wiec „Straży“ „Faterland“ uratowali. Wartoby im cyrkularzem donieść, że bardzo się mylą co do niebezpieczeństwa grożącego im ze strony „Straży.“ Szkoda atoli papieru, pióra i atramentu, gdyż ludzi głuchych na głosy rozumu i rozsądku przekonać i tak nic nie zdoła.

* * *

Postępy „Straży.“ W Kościańskiem — donosi „Gaz. Polska“ — znalazła „Straż“ grunt bardzo podatny. Zewsząd dochodzą nas wiadomości o żywem zainteresowaniu się „Strażą“ i jej przewodnią ideą. Liczba garnących się pod jej sztandar członków wzrasta z dniem każdym. Agitacya ze strony komisarzy i mężów zaufania w zjednywaniu członków do „Straży“ wydaje pocieszające owoce. Dzięki tej ożywionej i sprężystej agitacyi finansowe zasoby „Straży“ podniosły się o nowy *tysiąc marek*, zebranych od nowych członków „Straży“ powiatu Kościańskiego. Pieniądze odesłane zostały w tych dniach przez starostę powiatowego na ręce głównego skarbnika „Straży“ w Poznaniu. Najwięcej członków dostarczyły „Straży“ miasto Czempiń i okolica.

Wiec „Straży“ rozwiązany: Zapowiedziany na ubiegłą niedzielę wiec „Straży“ *w Tucholi*, w Prusach Zach., nie mógł się odbyć. Kiedy bowiem starosta powiatu tamtejszego, p. dr. *Karasiewicz*, rozpoczął zagajenie wiecu, miejscowy burmistrz wiec rozwiązał.

Na dwukrotne zapytanie p. dr. Karasiewicza, z jakiego powodu wiec rozwiązano, burmistrz odpowiedział, iż to dla siebie zatrzymuje. Na wiec zjechał również komisarz Weigt z Torunia.

Rozpoczyna się więc powoli naganka na „Straż.“ Sądzimy, że takie postępowanie organów policyjnych przysłuży się do wyrobienia tem lepszej opinii „Straży“ w szerokich kołach naszego społeczeństwa.

* * *

Wiec „Straży“ odbędzie się w *Kamionnie* (pow. międzychodzki) dnia **21-go stycznia o godzinie pół do 1-szej po poł. na sali p. Kurka. Na porządku obrad: 1) Zagajenie. 2) Mowa delegata „Straży“ (Rzepeckiego) o celach i zadaniach „Straży.“**

Tadeusz Bogdański, starosta.

Na wiec ten zaprasza powiatowców

* * *

Wiec „Straży“ w Śremie zapowiedziany na 14-go b. m. z tych samych powodów co w Miłosławiu i Środzie policyjnie zakazany. — Sprawa przeprowadzona będzie przez wszystkie instancye.

Biuro „Straży.“

Wiec wyborczy w Sierakowie.

Komitet wyborczy na powiat międzychodzki z prezesem p. M. Rutkowskim z Ławicy na czele zwołał na 4-go stycznia wiec celem usłyszenia sprawozdania poselskiego z ust posła swego p. hr. Mielżyńskiego oraz celem omówienia założenia Towarzystwa Wyborczego na powiat, który ma płacić 100 mrk. rocznie na rzecz Komitetu Prowincyonalnego.

Zebrało się przeszło 250 wiecowników w tem bardzo licznie, ziemiaństwo, duchowieństwo i mieszczaństwo miejscowe. Mieszczan i robotników było około 200. Poseł hr. Mielżyński zdał sprawozdanie ze stanowiska Koła polskiego w parlamencie w przeszło pół godzinnej mowie, która sprawiła niezmierne wrażenie na słuchaczach. Pan Karol Rzepecki z Poznania wyłuszczył cele, zadania i sposób organizacyi Tow. Wyborczego wedle dotychczasowych praktyk. Gospodarz Luch wzruszył do łez wiecowników mową o stosunkach w szkole, którą wygłosił z wielkiem przejęciem się i zrozumieniem serc i pragnień zgromadzonego ludu. Nakoniec przemawiał ks. prob. Krzyżański z Lutom o sprzedawczykostwie. Mówca radził trzymać się ziemi, a za powód jej utraty przytoczył 6 grzechów — 3 na „k“ i 3 na „p“, a mianowicie: kieliszek, kobiety i karty (u panów) i procesowanie się, pijaństwo i polowanie (próżniactwo) u włościan. Mowa wygłoszona z zapałem znalazła jak wszystkie poprzednie zrozumienie i poklask.

Po blizko trzygodzinnych obradach solwował przewodniczący zebranie dopełniwszy ukompletowania Komitetu powiatowego. Mówcom i Komitetowi należy się uznanie za urządzenie wieca; oby takich wieców było corocznie przynajmniej ze cztery, a wtenczas lud się uświadomi i nie pozwoli sobie wydrzeć mandatu, chociaż powiaty skwierzyński i międzychodzki przeważnie już mają własność ziemską i mieszczaństwo niemieckie.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Jeszcze w sprawie korespondencyi z firmami obcemi.*)

Lipsk, w końcu grudnia 1905.

Ucieszyłem się niepomiernie, że „Praca“ zamieściła w swych łamach tę tak aktualną sprawę a tem samem dała pochop do szerszego jej omówienia.

Niechże i mnie, aczkolwiek zdala od kraju, będzie wolno kilka myśli a może i rad dorzucić do sprawy leżącej każdemu na sercu, dbałemu o godność i powagę narodową tem więcej, że podobny temat już raz rozwinąłem w „Kraju“ petersburskim.

Istotnie my Polacy z pod zaboru pruskiego przyzwyczailiśmy się już aż zbytnio do tej przechodzącej nieraz granice arogancyi i ignorancyi niemieckiej na polu politycznem. Pocóż im dawać także i na polu ekonomicznem powód do również podobnego postępowania i to co gorsza *za nasze pieniądze?* Wszakże Niemcy sami odmówić nam nie mogą na polu ekonomicznem dzielności i zabiegliwości, pocóż się sami mamy krzywdzić? Oczywiście, że *jednostkowo* nic nie zdziałamy. Tutaj tylko *„gromada“* może odnieść należyte rezultaty. Firmy niemieckie, mające styczność, czy to z przemysłowcem czy z kupcem polskim, aż nadto przyzwyczajone są do tego, aby ich uważać za „zło konieczne“ dobre i niezbędne dla ich zysku.

Dzięki Bogu, że Królestwo i Galicya już oddawna działa na swoją godność t. zn., że kupcy lub przemysłowcy mający styczność z fabrykantami niemieckimi, używają w swej korespondencyi *tylko języka polskiego.* A firmy niemieckie chcąc czy nie chcąc muszą się do tego zastosować. A więc niechże sprawa ta nasza arcyważna nie schodzi z porządku dziennego, a *prasa nasza* nie powinna jej na żaden sposób odkładać *ad acta,* zaś korporacye nasze bądźto przemysłowe lub kupieckie, na *każdem* zebraniu powinny ją omawiać i nad nią dyskutować. Piszmy *wytrwale po polsku* do odnośnych firm, a skutek będzie niezawodny, a co więcej język nasz będzie u obcych w większem poważaniu jak dotychczas, także znajdzie przytem kilku zdolnych młodzieńców dobrze płatne posady korespondentów, co wobec dotychczasowej praktyki jest niemożliwem.

Na koniec podaję jako zachęcający dla naszych korporacyi kupieckich przykład, wiadomość, że *wszystkie czeskie* korporacye handlu i przemysłu, oświadczyły dostawcom niemieckim, że w razie, jeżeli ci *nie uwzględnią* ich życzeń i słusznych żądań w celu zaprowadzenia korespondencyi czeskiej w obiegu pomiędzy dostawcami fabrycznymi a kupcami i przemysłowcami czeskimi, oni zerwą z nimi od 1-go stycznia 1906 wszelkie stosunki handlowe. To oczywiście pomogło. Fabrykanci niemieccy chcąc nie chcąc będą musieli zaprowadzić korespondencyą czeską, tak samo jak i Niemcy żądają od innych obcych dostawców uwzględnienia swego języka.

Józef Somer.

* * *

Berlin, 28-go grudnia 1905.

Szanownemu Korespondentowi w numerze 51-ym „Pracy“ za łaskawie udzieloną odpowiedź w sprawie przeprowadzenia języka polskiego w handlu i przemyśle serdecznie dziękuję i proszę Szanowną Redakcyą o łaskawe umieszczenie w tej kwestyi jeszcze kilku słów.

Powinniśmy *stanowczo* żądać od naszych dostawców polskiej usługi nietylko w korespondencyi, ale też żeby zastępcy znali o tyle język polski o ile im jest potrzebny, często się zdarza, że zastępcy nawet polskich nazwisk nie umieją wymówić.

Jak niektórzy kupcy zbyt mało cenią nasz piękny ojczysty język to wiem z tego, że nawet się zdarza, że pomiędzy sobą w niemieckim języku korespondują.

W mieście P. n. p. pewna polska firma damskiej krawieczczyzny pomimo, że może korespondować po polsku to stale używa niemieckiego języka. Otóż cała wymówka polega na tem, że panna książkowa jest Niemką i po polsku nie umie.

Jeżeli więc sami nie będziemy szanować naszej ojczystej mowy, to ciekawy jestem jak nasi wrogowie mają ją uszanować.....

Jeżeli Niemcy z obcymi krajami n. p. z Francyą po francusku korespondują, to z pewnością będą umieli z nami porozumieć się w polskim języku, tem bardziej, że jesteśmy ich klientelą.

„Straż,“ która ma tak szlachetne i wzniosłe idee, powinna się tą sprawą zająć.

Czytelnik „Pracy“.



Ekonomiczne siły Polaków w pruskich prowincyach wschodnich. Pierwszy odczyt pod tym tytułem wygłosił niedawno w Berlinie dr. Bernhard, profesor akademii niemieckiej w Poznaniu. Prelegent przyznawał Polakom wielką dzielność w ekonomicznem odradzaniu swego społeczeństwa. Nie zrażali się oni początkowemi niepowodzeniami lub trudnościami walki z polityką rządu. Pierwsze próby zakładania spółek pożyczkowych i banków polskich nie udawały się, ale już od 1881 widać w nich „silną rękę porządkującą“. Zainicyowana w r. 1886 przez Biskarka polityka wykupowania ziemi od Polaków, również krótko tylko miała powodzenie. Od r. 1888 Polacy skutecznie przeciwdziałają tej polityce, zakładają Bank ziemski i inne spółki parcelacyjne. Ks. Wawrzyniaka, stojącego obecnie na czele ruchu towarzystw kredytowych i zarobkowych, uważa prelegent za pierwszorzędnego finansistę i organizatora, a zarazem za najlepszego znawcę w dziedzinie takich spółek. Prelegent zbijał różne legendy kursujące o pochodzeniu funduszów, gromadzących się w spółkach polskich, a zbijał na podstawie osobistego zbadania ich ksiąg handlowych.

Nie pochodzą te fundusze od zagranicznych kongregacyi, ani, nawet od polskich magnatów; — za to znaczną część ich tworzą wkładki ludu do kas oszczędności. Wiele do pomnożenia tych oszczędności przyczynia się wychodzenie młodzieży za zarobkiem do Westfalii. Bernhard oblicza, że rocznie w ten sposób wpływa do kas spółkowych 2—3 mil. mk. Oszczędności te jednak nie zabezpieczyły Spółek od możliwości nagłego wycofania ich w razie gwałtownej potrzeby. Zabezpieczenie to znalazł według Bernharda Związek Spółek Zarobkowych przez zawiązanie stosunków z dwoma pierwszorzędnemi efektowemi bankami niemieckiemi — z jednym, w ostatnich dopiero miesiącach. Stosunek taki podnosi oczywiście siły tych spółek, których kredyt osobisty (Personalcredit) oblicza na 100,000.000 marek, sądząc, że za 2—3 lata jeszcze się podwoi lub potroi.

---

*) Patrz „Dział rolniczo-ekonomiczny w nr. 48-ym i 51-ym r. z,

DZIAŁ KOBIECY.

Róża.

— Powiedz mi, jakie kwiaty lubisz, a powiem ci jaki masz charakter!

— Byłoby to trudne zadanie! Bo ja lubię wszystkie kwiaty, mające woń. Kwiat bez woni, chociażby najpiękniejszy, nie ma dla mnie wartości. Kwiat bez woni, to kobieta bez serca — stare porównanie, ale zawsze prawdziwe. Wolę kobietę nieładną z sercem, niż zachwycająco piękną, a zimną i bez serca. Wolę fiołek niż kamelią, wolę konwalią niż wspaniałe chryzantemy — więc jakiż mam charakter?

— Dobry, łagodny, serdeczny....

— Eh, bez komplementów. Przyznam się jednak szczerze, że najulubieńszym moim kwiatem jest róża i to każda róża, bez wyjątku, począwszy od skromnych dzikich róż aż do przepysznych la France lub herbacianych. Gdybym mógł, zapełniłbym mieszkanie moje różami, wszędzie róże i róże, bez końca.

— Więc charakter pana jest dobry, ale żądny pan jesteś panowania. Róża, to królowa kwiatów!

— I słusznie ją tak zwano. Znasz pani jej historyą? Nie? W takim razie proszę posłuchać.

Historya róży sięga w niepamiętne czasy, przed tysiącami lat już był to ulubiony kwiat Persów, Arabów, Greków, Rzymian i Egipcyan. W dni uroczyste zdobili głowy różami, a jeden z cesarzów rzymskich zadusił różami, spadającemi z sufitu wszystkich swoich biesiadników. Ten sam cesarz kazał sobie wykopać kanał, napełnić go wodą różaną, i jeździł po nim gondolą, przybraną girlandami róż.

Na każdą zabawę u Nerona potrzebowano tysiące róż, lilii i fiołków — całe stawy pokrywano różami i to tak gęsto, że jeden kwiat dotykał drugiego. Zdawało się wtedy, że łodzie płynęły w kwiecistych ogrodach, a nie po wodzie. Na wszystkich prawie ulicach Rzymu rozchodziła się upajająca woń róż, a jeden z ówczesnych pisarzów wezwał Egipcyan, aby Rzymianom „za róże trochę zboża“ przysłali.

Ale i w Egipcie lubiono róże niezmiernie. Kleopatra kazała raz, na cześć Antoniusza, posypać posadzki w swoim pałacu na dwie stopy wysokości różami i rozciągnąć nad tem elastyczną siatkę. Chodziło się więc rzeczywiście po różach!

— Musiało to być cudownie, szkoda, że w naszych czasach nie można czegoś podobnego urządzić. Ale to wszystko należy do prastarej przeszłości. Czy i dziś są narody, które taki hołd oddawają róży?

— Tak, tylko w innym to się dzieje celu. Dawniej hodowano je dla nich samych, dziś dla zysku, jaki przynosi olejek różany. Olbrzymie plantacye róż w południowej Francyi i w sławnej dolinie Kezanlik w Rumelii przynoszą tysiące. Niezrównanie to piękny widok, owe pola róż! Kwiat przy kwiacie — wygląda to, jak dywan rozpostarty na ziemi. Możesz pani sobie wyobrazić tę woń zachwycającą, a żniwa, jakie właściciele tych pól zbierają, po części Anglicy, są nadzwyczaj obfite. Na Wschodzie są krzewy, a raczej drzewa różane, po kilkaset lat podobno stare, i w Niemczech, w Hildesheimie, znajduje się przy kościele świętego Michała, drzewo, które znawcy oceniają na tysiąc lat wieku. Róże na niem kwitły podobno już za czasów Karola Wielkiego, mogłyby nam więc niejedno opowiedzieć, nieprawda? Dużo one widziały i słyszały! Pień tego drzewa pokryty jest cały mchem, a gdy się na wiosnę pokryje kwiatami, wtedy setki róż zdobią stare mury kościoła. Róża jest także kwiatem zakochanych — im czerwieńsza, tem większą i gorętszą oznacza miłość. Biała wyraża obojętność, żółta zazdrość naturalnie. We Francyi panuje zwyczaj, że narzeczony, po zaręczynach, posyła swej ukochanej codziennie kwiaty, to jest, jeżeli ma na to, i zaczyna od białych róż, a kończy na najciemniejszych. Miłość jego wzmaga się z każdym dniem.

— I on to kwiatami wyraża? Nie słowami?

— Nie wiem, może słowami także, w każdym razie mowa kwiatów bardzo jest poetyczną i znaną od niepamiętnych czasów. Róża była i jest tam zawsze kwiatem miłości. I u nas tak było. Filon przynosił Laurze „plecionki z róż....“

— Ach, nie zaczynaj pan o tem! To takie stare i nudne!

— Więc mówmy lepiej o nas samych! Pozwolisz pani ofiarować sobie różą?

— Zgoda, ale — białą!

— Nie pani. Tę oto, ciemno pąsową! Wiem pani, co to znaczy w rozmowie kwiatów?

— Powiedziałeś mi pan to przed chwilą!

— A zatem — przyjmujesz?

— Przyjmuję!

Empa.

Myśli
poświęcone kobiecie i miłości.

Większą część uczuć silnych rodzi początkowo uczucie wdzięczności; podana ręka, rzucony wzrok temu, co sam dłoni wyciągnąć nie śmie, ani wejrzenia obrócić. Z dwojga zawsze kobieta pierwsza okazać musi trochę uczucia, bo mężczyzna więcej ma jeszcze może dumy niż serca, boi się walki, z której nie wie, czy wyjdzie zwycięzcą.

Kraszewski „Jasełka“.

* * *

Uczucie miłości jest to ziarno gorczyczne maluczkie, a wyrastające na drzewo rozłożyste; niepostrzeżone w sercu się zasiewa, obejmuje, zalega, i gdy je wyrwać potrzeba, już zbyt głęboko wpiło się w pierś i opasało człowieka.

Kraszewski „Resztki życia.“

* * *

Co za cudny nasz wyraz *Dziewica*, jak on maluje tę anielską czystą istotę, która przestała być dziewczynką (wnet jeszcze dziecięciem), a stoi już na progu życia poświęceń, ofiar, życia pełnego, życia-boju. — Bój to uroczysty i chwały pełen, ale oko dziewicy ledwie go przegląda; ono widzi tylko spokojne zacisze i domowe swe szczęście i obowiązki, dla których bije samotne serce. W jej oczach spostrzeżesz już, że myśleć poczęła, że życie co dzień pojmuje lepiej, że się gotuje do niego. Ta chwila jest jakby modlitwą do Boga o przyszłość. Straciła całkiem swą żartobliwość, płochość, swą wesołość dziecka; oczy nie latają jak przedtem, ale spojrzenie jej do głębi przeszywa.

Kraszewski
„Pamiętniki Nieznajomego.“

ROZMAITOŚCI.

Koniec Szczepanika. Tyle w swoim czasie reklamowane i zachwalane wynalazki p. Szczepanika, okazały się ostatecznie „niepraktycznymi". Przed kilku dniami odbyło się w Wiedniu walne zgromadzenie akcyonaryuszy Szczepanikowskiego towarzystwa, które po wysłuchaniu sprawozdania dr. Bindera uchwaliło... likwidacyą. Podobno będzie można uratować około 10 proc. kapitału zakładowego. Uchwalono również sprzedać za każdą cenę patenty Szczepanika oszacowane niegdyś na pół miliona — a obecnie na... kilka tysięcy koron. Przykry to epilog przedsiębiorstwa, utworzonego z wielkim hałasem przez kilku niesumiennych spekulantów, którzy Szczepanika obałamucili, a publiczność polską po prostu oszukali. Ludzie rozważni dawno już ostrzegali, że poza firmą wspólników Szczepanika kryje się zwykły szwindel; łatwowiernych i naiwnych jest tak wielu, że i tym razem wielu z nich poszło na lep dziennikarskiej reklamy urządzonej coprawda z wielką przebiegłością, i u nas, gdzie tak trudno znaleźć fundusze na jakieś pożyteczne realne cele — znalazły się kapitały na przedsiębiorstwo zupełnie fikcyjne. Gdzie te pieniądze poszły, o tem mogą wiedzieć chyba bliżej interesowani. Szeroka publiczność zyskała tylko jedną przestrogę więcej, żeby nie wierzyła pewnym spekulantom i blagierom...

* * *

Telegraf bez drutu w pociągach. Dla zapobieżenia zetknięcia się pociągów na kolejach żelaznych, postanowiono — jak donoszą pisma petersburskie — zaopatrzyć parowozy w aparaty do telegrafowania bez drutu. Idące po jednej i tej samej linii naprzeciw siebie dwa pociągi, zaopatrzone w takie aparaty, mogą podawać sobie sygnały na przestrzeni 3-ech wiorst.

* * *

Generał Saussier zmarł świeżo w Paryżu w 75-ym roku życia. Nieboszczyk był bardzo znanym człowiekiem. Uchodził bowiem za naczelnego wodza armii francuskiej w razie spodziewanej dawniej nowej wojny z Niemcami. Podczas ostatniej wojny francusko-niemieckiej został po upadku Mecu wzięty do niewoli i posłany jako jeniec najprzód do Kolonii, a potem do Grudziądza, i to z obawy, żeby z Kolonii nie uciekł. Tymczasem właśnie z Grudziądza udało mu się rzeczywiście zemknąć, poczem znów wstąpił do wojska francuskiego i był aż do końca wojny jeneralem dywizyi w armii północnej.

* * *

Kochanka W. Ks. Aleksego. Z Petersburga donoszą, że w tych dniach przeniosła się stamtąd do Paryża panna Valeta, aktorka teatru Michałowskiego, kochanka W. Ks. Aleksego, stryja carskiego. Podczas ostatniego jej występu przyszło do skandalicznych scen w teatrze — wznoszono okrzyki przeciw znajdującemu się w loży teatralnej W. Ks. Aleksemu, który musiał opuścić lożę. Po tym skandalu dyrekcya teatru nie chciała pozwolić pannie Valetta na dalsze występy i zapłacić jej musiała za zerwanie kontraktu karę konwencyonalną. Obliczają, że kosztowała ona W. Ks. Aleksego 5 milionów rubli. Na jedną kochankę suma dość pokaźna. O skandalicznej tej sprawie rozpisują się obecnie pisma rosyjskie.

* * *

Tajemniczy człowiek. Zbrojnem powstaniem w Inflantach kieruje tajny rząd łotowski, który dzisiaj posiada więcej posłuchu od jenerał gubernatora Rygi, którego rozkazów nikt nie słucha. Na czele tajnego rządu stoi tajemniczy człowiek, Rosyanin, znany pod pseudonimem Maksyma. Z Rosyi do Rygi przysłany, miał zrazu lud przeciwko sobie. Ukazał się na zebraniu strejkujących kolejarzy, którzy w nim widzieli przedstawiciela burżuazyi i gwałtem go chcieli z sali wyrzucić. Wtenczas prosił on, by mu pozwolono przemówić. Pierwsze spokojne słowa jego podziałały na zebranych, a po dwugodzinnej mowie stał się bohaterem. Wzięto go na ramiona, ściskano, 100 kolejarzy zorganizowało się jako straż przyboczna. Od tego czasu nieznany człowiek rządzi, rozpoczął rewolucyę zbrojną, kazał rżnąć Niemców.— Kto on jest, nikt nie wie.

* * *

Luccheni, morderca cesarzowej austryackiej Elżbiety, usiłował świeżo dozórcę więziennego zamordować. Przez kilka dni udawał on chorego, a jednego poranku zastał go dozórca jakoby bez przytomności leżącego na celi. Gdy dozórca uchylił się nad „chorym," ujął go tenże silnie w kark, dusząc rzucił o ziemię i skoczył szybko do otwartych drzwi celi, chcąc uciec, lecz wpadł zaraz w ręce drugiemu dozórcy. Dopiero po wielkich trudach udało się Luccheniego ubezwładnić i okutego w kajdany przymocować do muru.

* * *

Samobójstwo za pomocą dynamitu popełnił kamieniarz Schmidt w Neuhof, w prowincyi saskiej. Będąc w nędzy, włożył do ust nabój dynamitowy i spowodował wybuch tegoż. S. został w kawały rozszarpany.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

SZPIEG.

OBRAZEK NARYSOWANY Z NATURY

przez

B. BOLESŁAWITĘ.

9)

(Ciąg dalszy.)

Mówił to głosem drżącym, zbolałym któryby był skałę poruszył, ale pan naczelnik obyty był widać z jękami ludzkiemi. Nieraz może w cytadeli przytomny był indagacyom dokonywanym za pomocą rózek i kijów. Jęki rozpaczy obijały się o pierś jego nie dochodząc do jej głębi. Wieczorem w salonie rozczulał się gdy mu się trafiło pieskowi nóżkę przydepnąć, ale w sprawowaniu urzędu, asystował nieraz gdy po sto rózek dawano słabym starcom lub niedorosłym dzieciakom; nie robiło mu to najmniejszej różnicy, jadł potem smaczno bifstek u Bouquerela i unosił się nad śpiewem panny Rivoli w teatrze. Zapomnieliśmy dodać, że był bardzo muzykalny, słynął z miłośnictwa teatru, a szczególniej rozmiłowanym był w balecie i — baletniczkach.

Na krzyk ojca, z odpoczywającego łagodnego człowieczka stał się on nagle urzędnikiem.

— Idźże mi ty precz! zawołał. Jak śmiesz z taką sprawą przychodzić do mnie? Syn twój był między tymi buntownikami, winien jest i pójdzie z innymi w Sybir.

— Panie! krzyknął Presler, to być nie może, ja mam przecie u rządu zasługi, ja się dla was okryłem sromotą, ja wam stu wydam za niego jednego! Wygrzebię, z pod ziemi wykopię, ale mi tego jednego oddać musicie!

— Co to jest musicie? głupcze jakiś! odpowiedział zimno radca, ja cię tu nauczę tak gadać do mnie; idź mi zaraz precz! i nie śmiej nawet ust otworzyć o tem.

Presler jeszcze raz zwlókł się do jego nóg i zaczął płacząc je ściskać.

— Panie, zawołał, i ty masz dzieci, pomyśl gdyby ci jedno z nich schwycono? ja mam jednego tylko syna!!

— A czemże to on lepszy od drugich co za to samo w Sybir pójdą? rzekł naczelnik. Jednego miałeś, trzeba ci go było inaczej wychować, oddać do służby, a nie puścić go samopas i rzucić między tę młodzież zarażoną buntowniczym duchem.

— Prawda, winienem panie! rzekł jęcząc Presler, tak jest! jam winien, ja, nie on — złem go wychował, powinienem być ukarany. Karzcież mnie, wieszajcie, bo ja i tak żyć nie będę, wydawszy własnego syna w ręce oprawców.

— Co to jest oprawców? oburzony zawołał naczelnik. Głowę tracisz, oprawców? ty rząd nazywasz *oprawcami?*

Na te słowa Presler, który razem z nadzieją tracić zaczął cierpliwość, zerwał się z podłogi, stanął przed nim groźny i rzekł dzikim głosem:

— Tak! wy jesteście oprawcy, oprawcy wszyscy co wam służą, ja stałem się katem, ale mi oddacie syna lub... biada wam! biada wam!

To mówiąc podniósł pięść do góry, pan naczelnik pobladł i znowu z urzędnika stał się owym łagodnym wieczornym człowiekiem.

— Cichoż, cicho, moje serce, rzekł, co bo ty tak temi rękami wywijasz? Dajże pokój, upamiętaj się, pomiarkuj!

— Oddacie mi syna? wołał drżącym głosem Presler.

— Ale wszystko się może zrobić, tylko ty z temi rękami daj pokój, nie krzycz, idź, ochłoń, a już tam jakoś później zobaczemy...

Presler nagle z gniewu przeszedł znowu do błagającej postawy, zaczął go ściskać za nogi i całować.

— Dobroczyńco mój, rzekł, życie za ciebie położę, będę ci służył, stanę się twoim niewolnikiem, uczynisz ze mną co zechcesz, ale na Boga uwolnij mi tylko syna.

— Już tylko cicho, idź, idź, rzekł przestraszony naczelnik, zrobi się co będzie można, ale sobie idź... proszę cię... kochanku!

Ale Presler jak przykuty odejść nie mógł, płakał, powtarzał jedne prośby i ledwie z wielkim trudem można go było za drzwi wyprawić.

Naczelnik spotniały jakby wyszedł z łaźni, trzęsąc się z przestrachu, wyleciał drugiemi drzwiami z pokoju i nie mógł przyjść do siebie aż po śniadaniu u Stoczkiewicza, gdzie jednę butelkę wina więcej wypić musiał. Zapłacił za nią wprawdzie obywatel przybyły z prowincyi, z którym się świeżo zapoznał.

* * *

Wypchnięty od naczelnika Presler błąkał się po mieście jak oszalały, po głowie jego najdziksze wiły się myśli, najśmielsze snuły projekta, bądź co bądź bodaj ofiarą życia chciał syna ocalić, myślał się udać bodaj do samego cara aby mu wydrzeć tę ofiarę. Chwilami wiała nań jakaś nadzieja, że sam naczelnik syna mu uwolni, że jego zasługi otrzymają nagrodę, to znowu oddawał się rozpaczy przypomniawszy, że z gardła katom żadna nie wracała ofiara. Tych, których wypuścili raz, wzięli powtóre i potrzecie, nie jeden z podejrzanych tylko, po kilka razy Sybir oglądał. Na młodzież szczególniej byli łakomi, żadnemu nie przebaczano. Widziano synów urzędników wysokie zajmujących stanowisko, zakutych w kajdany i pędzonych na wygnanie. Preslerowi wszystkie wypadki, o których słyszał, przychodziły na pamięć. Błądząc od kancelaryi do domu naczelnika, wszędzie pytając o niego naprożno, sam nie wiedząc jak zawlókł się do domu, ale tu chwili wytrzymać nie mógł, pustka była straszliwa, przypomnienia powiększały zgryzotę.

Matki nie było w domu, Rózia siedziała w oknie z zapłakanemi oczyma, Kachna płakała w drugim kącie, drzwi stały otworem, na kuchni nie było ognia, wszędzie smutek jak po umarłym, którego tylko co wyniesiono na cmentarz. Presler nie śmiał pójść na górę bo by musiał przechodzić koło drzwi izdebki syna. Cichym głosem zapytał córki, gdzie matka, dziecko odpowiedziało mu, że nic nie wie, i porucznik z obłąkanym wzrokiem, z zaschłą wargą wyszedł znowu do biura przy ulicy Długiej. W tym dniu jak wiek długim, potracił godziny, zgubił pamięć, zapomniał o wszystkiem, pamiętał tylko, że był katem własnego dziecięcia. Przechodząc gdzieś około zegarmistrza spotkał się z godziną, w której zwykłym obyczajem naczelnik powinien był być w biórze. Pospieszył więc, ale zaraz przy drzwiach zastał ustawionych policyantów, którzy mu na próg wnijść nie dali, naprożno prosił i nalegał, odpowiedziano mu, że jeśliby się ważył hałasować, mają rozkaz odprowadzenia go na ratusz. Na wielkie prośby, po kilku poselstwach w towarzystwie dwóch stróżów został wprowadzony przed oblicze pana naczelnika.

Było ono straszliwie groźne, chmurne, zagniewane. Porucznikowi kazano mówić od progu a pan Radca dla bezpieczeństwa trzymał się w drugim końcu sali, poglądając bojaźliwem okiem na swego podwładnego. Widocznie scena poranna i owa pięść, która mu tak blisko oczów mignęła, jeszcze się przypominały. Presler widząc te wszystkie przygotowania stał się bardzo pokornym.

— Panie naczelniku, rzekł, pan mi przyrzekłeś! zlituj się nademną!!

— Wybij ty to sobie z głowy, żeby dla twoich pięknych oczu, rzekł surowo naczelnik, rząd miał schwyconego z bronią w ręku buntownika uwolnić. Podziękujesz Panu Bogu, jeśli go z drugimi nie powieszą, a o przebaczeniu ani myśleć.

— Aleś mnie pan przyrzekł! przerwał Presler.

Nic ci nie przyrzekałem, a teraz ci to tylko przyrzec mogę, że jeśli mi się poważysz raz jeszcze przyjść z temi piskami i czas zajmować, to cię każę tam zasadzić zkąd niełatwo wyliziesz...

Groźba ta podziałała widać na Preslera, całą jego nadzieją były własne starania, zląkł się, aby go nie zaaresztowano. Naczelnik, który w tej chwili na niego spojrzał, spostrzegł na bladej twarzy dwa strumienie łez, które cicho płynęły i po dwóch zmarszczkach głębokich schodziły do ust zaciśniętych. Gdyby był miał trochę serca byłby się poruszył widokiem tego człowieka; egoista zakamieniały

pocieszył się tylko tem, że już drugi raz pięści koło twarzy swej nie zobaczy.

To jego wyjście tak nagle po gwałtownej scenie rannej zdawało się naczelnikowi nienaturalnem, podejrzanem, czuł, że ten człowiek tak dziwnie prędko uspokoić się nie mógł, trwoga go jakaś przejęła, pomyślał nawet, czy nie wypadałoby go aresztować, ale potem dał pokój. W głębi jednak był bardzo niespokojny.

Presler mijając pośrednie stopnie, wprost postanowił udać się do jenerała, który naówczas był na czele komisyi i od którego los jego syna całkowicie zależał.

Radbym tu przy tej zręczności skreślić charakterystykę panów Jenerałów wojsk moskiewskich, którzy tak znakomitemi czyny odznaczają się w walce z odradzającą Polską.

Dzienniki pełne są okrucieństw żołnierza, barbarzyństw pijanej tłuszczy, przemocy nad bezsilnymi, zbrodni w żadnej od dawna wojnie nieznanych. Litość jest dziś uczuciem zabronionem, miłosierdzie chrześciańskie słabością kary godną.

Próżnoby o to obwiniać to głupie żołdactwo, które po pijanemu same nie wie co robi, system i jego wykonanie są dziełem starszyzny, tych jenerałów właśnie o których wspomnieliśmy, równie walecznych na placu boju, gdy idzie o dobijanie rannych i rozstrzeliwanie bezbronnych, jak znakomitych w indagacyach sądów wojennych, w wyrokach, i w administracyi powierzonego im kraju. Ani turek ani tatarzyn nie mógłby być nad nich okrutniejszy, żadne też plemie mongolskie głupszem od nich być nie może. Z wielkiej gorliwości na usługi swojego cara jenerał moskiewski gotów zgwałcić wszystkie prawa boskie, byle za to mógł dostać *błagodarność lentę*, a w ostatku donacyą. Chociaż w postępowaniu jenerałów nie widzimy wielkiej różnicy i zdawaćby się mogło, że wszyscy w jednej formie odlani, są ich, jak małp, rozmaite gatunki.

Nie jesteśmy grzeczni w porównaniu, ale godzi się za te mordy i pożogi choć słowem wzgardy odpłacić.

Jenerałów rosyjskich podzielić można na klas kilka, wszyscy przecie do drapieżnych zwierząt należą. Choć jedni powierzchownie wyglądają na łagodnych, drudzy umyślnie dziko pokazać się pragną, w ogóle cechą determinującą podziały i stanowiącą charakter, jest język jakim mówią.

Jest, jenerał mówiący tylko po rosyjsku, drugi który umie po francuzku, trzeci co woli niemiecki język, bo z tym się w gębie urodził na ostatek jenerał mówiący wszystkiemi językami, nawet po polsku.

Pierwszy który zwykle dosłużył się z nizkiego stopnia jest sobie człowiek prosty chodzący regularnie do cerkwi, zwykle dosyć stary, ubóstwia cara, popów całuje po rękach, żyje z pensyi, posłusznie wykonywa wszystkie rozkazy ale miewa serce w piersi i jest po trosze człowiekiem o ile car mu nim być pozwala.

Ze wszystkich gatunków, tego jeszcze nad innych przenieść można. Owe półświatełko wymałpowanej cywilizacyi bez wiary, zasad i przekonań jeszcze na jego skroń nie padło, nie wyrzekł się on ani starych przesądów, ani starych życia prawideł; ślepe jak wszyscy, narzędzie każe w pień wyciąć gdy ukaz przyjdzie wycinać, ale po cichu zapłacze.

Już ten drugi, który się nauczył po francuzku, i udaje liberalnego, który w nic nie wierzy i gotów rodzonego brata sprzedać za gwiazdkę na szlifach daleko od pierwszego jest gorszy. Szczególniejszym fenomenem życia tych ludów autodidaktów, które porządnego wychowania nie przechodziły, którym tyrania służyła za niańkę, jest to właśnie że z oświaty i cywilizacyi zamiast brać miód, biorą gnoje. Moskal cywilizowany nie nauczy ci się nic zdrowego, nic co silnym i potężnym czyni człowieka, zlizuje tylko zgniliznę cywilizacyi, bierze z niej próżność, pychę, zamiłowanie zbytku, rozpustę, wszystko co stanowi ułomność, a nie co daje siłę. Nie jest to winą cywilizacyi, że z niej truciznę wyciągnąć można; z jednych materyałów pszczoły wyrabiają miód, a węże jady.

Jenerał który umie po francuzku często bywa liberalny w słowach, ale spytaj jego służących jak się z nimi obchodzi, żony jak z nią żyje i podkomendnych jak ich kradnie! W salonie, którego język i tuzinkowe frazy łatwo chwytają, są to ludzie przyzwoici, niektórzy z nich czytali nawet wiele, ale nauka nic na życie nie wpłynęła. Gatunek ten dałby się na wiele podgatunków rozdzielić, musimy tę wielką rozmaitość zostawić przyszłemu monografowi tej dzikiej istoty, — dodamy tylko, że jak urzędnik moskiewski w salonie a w biurze jest istotą zupełnie różną, tak jenerał ów w kraju i za granicą całkiem do siebie niepodobny. Jest to cechą tych istot służebnych, że wszędzie z sobą noszą swe niewolnictwo, przed carem są to lokaje, a często rajfury, u wód gdzieś w Nicei lub Londynie udają ludzi. Trzeba ich widzieć gdy z tej rekreacyi powracają *ad limina Carorum*, gdy kapelusz okrągły lub dżokejską czapeczkę mieniają na ostatniej stacyi wkładając kaszkiet z gwiazdką i mikołajowskie palto. Kto ich spotkał na ulicach Paryża, a zobaczy potem w Wierzbołowie lub Sosnowicach może ich śmiało niepoznać. Z dobrodziejstw cywilizacyi przywożą do domu najczęściej szczotkę do paznokci, trochę pomady, a czasem wstawiane zęby i umalowane włosy.

Jenerał, który umie po niemiecku jest naturalnie Niemcem, a że połowa jeśli nie więcej Rosyi jest niemiecka, on tu sobie jak w domu.

Jest wiele szlachetnego i zacnego w tych Niemczech, których nie lubim, ale proszę mi pokazać jednego *człowieka* Niemca w służbie rosyjskiej? Od dawna uznani za pedagogów Moskwy Niemcy uważają się tu za istoty szlachetniejszego rodu i przodkują wszędzie Moskalom.

Była chwila, gdy nienawiść ku nim krajowców dochodziła już prawie do exasperacyi, ale w teraźniejszej walce z nami Niemcy nie ustąpili Moskalom i zarobili sobie znowu na prawo obywatelstwa. Jenerał niemiecko-ruski nie jest tak pokaźny, nie tak fanfaron jak poprzedzający; pracuje, bierze pieniądze ostrożnie, stara się o jakąś specyalność, narodowości swej łatwo się wyrzeka, wiary wypiera, z ochotą żeni się z Moskiewką bogatą, dzieci daje na łup prawosławiu i służąc wiernie carowi dobija wysokich pozycyi, wielkiego wpływu i znacznego majątku. Z niemiecką systematycznością na zimno wyrozumowując gotów rznąć, zabijać i palić podpierając się w potrzebie filozofią historyi, historyą filozofii,, ekonomią polityczną, Machiawelem, Gansem, Heglem i kim wreszcie chcecie — jest to mąż uczony i wytrawny, nadewszystko wytrawny. Wielki czciciel siły, jenerał niemiecki ugina przed nią czoło, służy jej a w przypadku gdyby mu trzeba zmienić mundur lub opinią, na wszystko gotów.

Ma jednak słabostkę, choć się niby zaparł swej narodowości, pomaga po cichu wszystkiemu co niemczyznę szerzyć może w Rosyi. W istocie przekonany on jest, że Imperium rosyjskie omyłką tylko liczy się do państw słowiańskich, a rzeczywiście jest to przez Niemców zawojowana Mongolia. Może on ma i słuszność.

Ostatni gatunek jenerała wychowanego tak szczęśliwie, że umie i po angielsku i po włosku, może ze wszystkich jest najniebezpieczniejszy. Człowiek ten co się wiele a powierzchownie uczył, najwięcej też nabrał zarozumiałości, wierzy tylko w siebie, cara już nie ma za bóstwo, ale za narzędzie, które zręcznie spożytkować umie; poważny, zamknięty, szanujący się mocno, wie on, że z jemu podobnych robi się w Moskwie wszystko począwszy od kuratora uniwersytetu, ministra oświecenia aż do naczelnika wojennych zakładów, gospodarza skarbowych majątków, dyrektora banku lub wodza wszystkich cesarskich teatrów. Wie on, że może pojechać do Chin za ambasadora, do Paryża po ładną aktorkę lub na Sybir na wielkorządzcę. Pamiętny wielkich swych przeznaczeń, szanuje on w sobie to drzewo, z którego może wystrużą jakie maleńkie berełko, lub jaką wielką szubienicę.

Jenerałowie tego rodzaju z równą łatwością zmieniają suknię wojskową na cywilną, jak frak na mundury. — Są to ludzie, z których wszystko się robi w Rosyi, a że wojskowość jest podstawą wszystkiego, ci co chcą dojść wysoko, muszą służyć w wojsku, bo ci którzy tylko byli w służbie cywilnej zawsze kulawo jakoś idą do góry.

Nie wyczerpaliśmy wcale tego przedmiotu a przecież ponętna jego rozmaitość może nas za daleko uniosła. Dużoby tu jeszcze było do powiedzenia (co się gdzieindziej jeszcze powiedzieć może) tymczasem wrócim do powieści.

Jenerał, do którego postanowił udać się Presler, należał do drugiego gatunku, umiał on po francuzku, ale nauczywszy się późno od jakiegoś Francuza rodem z Pskowskiej gubernii wymawiał: *Fiermie la port* i t. p. Był to jeden z tych siepaczy, których rząd używał zwykle do krwawych posług, przekonany, że jak tylko największa zgroza

przez władzę jest nakazana, już tem samem staje się godziwą, bił, siekł, głodził, straszył, zarzynałby był i palił, byle na to miał ukaz z pieczęcią cesarską. Wierząc, że wszelka władza pochodzi od Boga, służył władzy jak Panu Bogu, sprzedał jej swój rozsądek, którego miał niewiele, i sumienie, z którem się nigdy nie rachował. Nałóg srogości wyrobił w nim taką obojętność jaka się rzadko w ludziach spotyka, nabywają jej czasem, na cierpienia fizyczne, chirurgowie przywykli codzień ręce i nogi piłować, i jenerałowie moskiewscy po tych cytadelach tajemniczych, których męczeństwa płaszcz postrachu okrywa. Był to człowiek lat podpięćdziesiąt, z twarzą głupią, bladą, nalaną, przywykły do szerzenia postrachu i swojej wszechmocności, niewielkiego umysłu, niezbyt nawet przebiegły, ale ideał nierozumującego służalca.

Cały jego dzień upływał na badaniach w cytadeli, które gdy obwiniony był mocniej podejrzanym, a rządowi pilno dowiedzieć się było prawdy, kończyły się zwykle chłostami i katostwem. Jenerał bywał tym exekucyom przytomny, a krzyki nieszczęśliwych wcale już na nim nie robiły wrażenia. Gdy po dniu tak uczciwie spędzonym wracał na łono rodziny na czaj wieczorny, nigdy mu na myśl nie przyszło narzekać na rząd barbarzyński, ale klął tych niegodziwych Polaków co się na dobrodziejstwach moskiewskiego rządu poznać nie umieją. Nie łatwo to było docisnąć się do takiej matadory (bez kalamburu) ale Presler miał różne stosunki i wychodząc z domu, jakby przeczuciem zabrał ze stołu pieniądze o których żona zapomniała. — Wiedział on dobrze, że po wszystkich moskiewskich większych i mniejszych jurysdykcyach począwszy od stróża aż do jenerała, wszystkim się najuboższy opłacać musi. Pełniąc ohydne obowiązki oprawców, ludzie, którzy się na nie poświęcili, ciągną zyski i ze strawy więźnia i z niewygód jego i z ostatniej koszuli i ze wszystkich co doń chcą przystąpić. Gdzieindziej na świecie znajdzie się zabłąkana litości iskierka, tu litość kupować trzeba za gotowe pieniądze. Sprzedajność równa się barbarzyństwu.

Pod wieczór dnia tego, gdy jenerał, mówiąc ich językiem, *oddychał*, co znaczy odpoczywał, przekupiony sługa wpuścił doń Preslera. Gabinet tego pana życia i śmierci tylu ludzi, wcale nie był podobny do wytwornego buduaru pana naczelnika. Nie znać tu było najmniejszego starania o jakąkolwiek wygodę, plugawa stara kanapa z wysiedzianą poduszką skórzaną służyła za tron panu jenerałowi, prosty stół zarzucony papierami stał przed nim, jedno wygodniejsze krzesło, szafa bejcowana, zegar lada jaki — otóż i wszystko. Drzwi tylko ten pokój dzieliły od zajmowanych przez jenerałowę z rodziną.

Mikołaj Siergujewicz w surducie mundurowym bez szlif, palił cygara i czytał *Invalida*. Gdy Presler wszedł, długo na niego patrzał. Zwyczaj badania nie opuszczał go i teraz, chciał się domyślić człowieka nim z nim miał mówić. Ale postawa porucznika nic go nauczyć nie mogła.

— Nu, czego tam chcesz? zapytał w końcu.

Nim rozpoczął mówić Presler, przyszedł pokornie, a raczej przypełznął, aż do jego kolan i całował je płacząc.

— Nu, gadajcie!

— Panie jenerale, jestem ajentem policyjnym, służyłem rządowi wiernie przez lat kilkanaście, mogę powiedzieć, żem i wiele za to zniósł i dosyć się nieraz przysłużył, ale mnie srogie wczoraj dotknęło nieszczęście. — Ja sam doniosłem, że się tam w fabryce jednej młodzież zbierała na mustrę, pomiędzy tą młodzieżą schwytano własnego mego syna, syna — jedynaka. Panie jenerale, weźcie życie moje, ale przebaczcie temu dziecku!

Gdy Presler to mówił, jenerał wciąż nań patrzał żując cygaro. Chociaż od lat kilku miał do czynienia z więźniami polskimi, nie nauczył się był dobrze po polsku; z trudnością rozumiał język a gorzej jeszcze nim mówił.

— A! rzekł, to to z tej szajki miateżników co ich tu wczoraj z tym starym przypędzili — wszyscy pójdą w Sybir bez wyjątku!!

— Panie jenerale! jedyne moje dziecko.

— Co tam *panie jenerale! panie jenerale!* (kłuło go, że mu nie mówił: prewoschodytelstwo) ja dla was nic nie zrobię, nie trzeba było syna puszczać na takie szelmostwa, trzeba jego było lepiej uczyć, ot co, *poszoł won!*

Presler jeszcze go ściskał za nogi, ale jenerał zniecierpliwiony już go niemi kopać zaczął. Krew burzyła się w starym, ale wzgląd na to, że los syna był w ręku tego człowieka, czynił go cierpliwym, dawał się kopać nie ustępując.

— Panie jenerale! wołał, ja wam odkryję wszystkie ich spiski.

— Co ty możesz odkryć?

Na chwilę zastanowił się.

— Ty nic nie wiesz, ale słuchaj, syn twój może być wolnym, niech tylko powie wszystko, niech wyda, swój ten *komitet Centralny* — ja jego uwolnię, oficerskie słowo.

Preslerowi jakieś mdłe nadziei światełko zabłysło.

— Ja każę przyprowadzić twego syna, jego już dziś badali, ale milczy jak kamień; chodź ze mną.

Nic nieodpowiadając Presler ruszył się za panem jenerałem, który zawołał żołnierza, coś do niego poszeptał i skinąwszy na porucznika począł go prowadzić z sobą. Dziedziniec, kilka strażą obwarowanych bram, drzwi i korytarzy, znaleźli się nareszcie w tej izbie znanej wszystkim odwiedzającym więźniów, do której zwykle przyprowadzają ich, aby przy katach świadczyli, że ich nie katowano. Jenerał siadł a Presler stanął z bijącem sercem oczekując na przyjście syna. Długa jednak upłynęła chwila nim brzęk karabinów oznajmił, że go wiedziono.

Ojciec rzucił się naprzeciw niemu, ale krata dzieląca salę przystępu broniła. — Julian szedł blady z twarzą pełną uroczystej odwagi męczennika, widać było na nim, że w tym jednym dniu przeżył więcej niż w życiu całem.

Jenerał wskazał nań ręką Preslerowi i rzekł:

— Nu, macie tego swego syna, powiedzcież temu łajdakowi, że jeśli chce świat oglądać niechaj prawdu gada i za swoje szelmostwo żałuje!

— Julku! krzyknął Presler zbliżając się do niego i załamując ręce, jeśli masz cokolwiek miłości dla rodziców, zlituj się nad nami, mów co wiesz! a pan jenerał przyrzeka, że będziesz wolny.

Julian dziwnie spojrzał na ojca.

— Ojcze, rzekł, ja nic nie wiem, wiem to, żem sam może winien, ale nikt więcej.

— Słyszysz, słyszysz, ot co gada buntowszczyk! krzyknął rozjuszony jenerał, tacy oni wszyscy! pójdziesz do taczek do kopalni... albo na szubienicę...

— Julku! ulituj się nad nami, jeśli nie nademną to nad matką!

— Ani ty ojcze, ani matka nie macie prawa żądać odemnie, abym dla miłości waszej podłością się skaził, rzekł młodzieniec; patrz! dodał nagle odsłaniając surdut i pokazując zakrwawioną koszulę, patrz, bito mnie dziś, bito ażem mdlał, alem nie zesłabł, alem wzmocniał, ale się dam ubić, a nie powiem tym katom słowa!! Nie okupię wolności mojej szkaradną zdradą, pójdę na śmierć i zostawię po sobie w miejscu dziecięcia waszego, czystą i poczciwą mogiłę. — Ojcze, mówił rozogniając się coraz bardziej, możeszże odemnie tego żądać, ty stary żołnierz polski, coś za ten kraj walczył za który ja może umrę....

Presler począł okrutnie płakać, a jenerał tupiąc nogami wołał, aby natychmiast więźnia wyprowadzono. Na Julianie gniew ten wściekły żadnego nie robił wrażenia, żołnierze go popychali, on stał jak wrosły w ziemię.

— Ojcze daj mi rękę niech ją pocałuję, zawołał, a potem na wolą Boga.

Ale Preslera chcącego zbliżyć się do syna żołnierz odciągał z drugiej strony, a okrutnemu jenerałowi przyszło na myśl pomścić się na szlachetnym młodzieńcu zadając mu cios okrutny. Postrzegł on z wyrazów wymówionych przez Juliana, że o rzemiośle ojcowskiem nie wiedział i krzyknął w pasyi:

— A wiesz ty co to twój ojciec? hę?

Julian odwrócił się z dumą ku jenerałowi.

— Stary żołnierz polski...

— Ha! ha! zakrzyczał zbir radując się zawczasu wrażeniu jakie miał uczynić... ty wiesz...

Już jego usta miały wymówić wyrazy, któreby były przebodły pierś młodzieńca najcięższym dla niego razem, gdy Presler wyrwawszy się z rąk żołnierza, skoczył do Mikołaja Siergiejewicza i zamknął mu usta obiema dłoniami.

Wielmożny ów Katownik uląkł się straszliwie, cofnął, a w tem zamieszaniu i wrzawie uprowadzono Juliana... pozostał rozjuszony zbir i porucznik, którego żołnierze schwytali i trzymali zdaleka.

— Ha! zawrzeszczał z pięściami przyskakując do bezbronnego jenerał i tłukąc go niemi po twarzy — ha! jak ty śmiałeś dotknąć mnie! jak ty śmiałeś... ty... ty...

Presler znowu stał się pokornym jak baranek, znosił razy, milczał, przypadł nawet na kolana usiłując przebłagać groźnego wroga, który nie żałował pięści i razów, a naostatek rozkazał żołnierzom dać mu jeszcze kijami i wypuścić.

Zkąd ta wspaniałomyślność wzięła się mu, dla czego nie kazał Preslera zamknąć w cytadeli, tego trudno zrozumieć.

— Słysz, rzekł do niego w końcu odchodząc, jak ty mi piśniesz słowo o tem co tu było, każę cię rozstrzelać... rozumiesz... oficerskie słowo...

W końcu dodał jeszcze parę razy ulubione swoje *paszoł won*, a nieszczęśliwy ajent policyjny, wyciągnięty za kark przez żołnierzy, za drzwiami się im ostatkiem wykupić musiał od razów, które zastąpiły gęste kułaki.

Oszalały, oszarpany, wywlókł się tak ku wrotom cytadeli, sam nie wiedząc dokąd idzie i co dalej pocznie z sobą, gdy usłyszane nagle znajomym głosem wyrzeczone przekleństwo osłupiałego wstrzymało.

Blisko tego mostu nad którym powinienby stać napis jaki Dante położył u wrót piekła, pod ścianą, ujrzał siedzącą żonę... przez tych kilkadziesiąt godzin tak zmienioną boleścią okrutną, że trudno mu zrazu było ją poznać.

Postać to była nie zrozpaczonej Nioby starożytnej, ale furya, której sił brakło na wściekłość. Widok sprawcy wszystkich jej cierpień osłabłą przywiódł do tego stanu wściekłości. Z rozpuszczonemi włosami, z suknią podartą, z twarzą oblaną łzami, z zaognionemi oczyma, z pieniącemi usty, zdawała się chcieć porwać na niego aby go rozszarpać, ale sił jej nie stało i padła z zaciśnionemi dłońmi miotając się w konwulsyjnych drganiach....

Siedziała tu od poranka próżno, błagając aby ją do syna dopuszczono, gnana i bita, znosząc naigrawania pijanej tłuszczy. Z serca jej szał przechodził do głowy, głód i ból odbierał jej powoli przytomność, — widok męża ją przywrócił.

Porucznik cofnął się z przestrachem, ale uciekać nie mógł; sam nieszczęśliwy zrozumiał jej rozpacz, ulitował się... chciał ją podnieść z ziemi i uprowadzić.

— Nie tykaj mnie! wrzasnęła przeraźliwie, widząc że się zbliża, nie tykaj zabójco... między tobą a mną nie ma już nic wspólnego... ostatni węzeł ty zerwałeś! nie mam dziecięcia... nie jestem żoną twoją... nie znam cię, szatanie — precz! precz! precz!!

Cóż było odpowiedzieć? Presler zapłakał, zatrzymał się, ale widząc, że się jej szał powiększa, odszedł powoli.

W chwili, gdy on znikł z oczów kobiety, która płakać gorzko zaczęła, zbliżyła się do niej czarno ubrana postać.

Była to podeszłego wieku niewiasta, jedna z tych tysiąców naszych świętych męczennic, które się poświęciły na usługę braciom... męczennic, gdyż każdy co jest zmuszonym ocierać się o żołdactwo moskiewskie, godzien się staje tego nazwiska. Ileż to przecierpieć musi każda spokojna, skromna, zacna kobieta, której przychodzi żebrać ich litości!

Nie mają oni poszanowania dla wieku, ani czci dla boleści, ani względu na słabość — a najlitościwszy z nich wstydzi się nawet pokazać, że ma serce... — jeźli nie jest okrutnikiem, to okrutnika udaje.

I ona z cytadeli wracała, i ona miała tam syna, i ona szła z wypłakanemi oczyma modląc się przez tę kalwaryjską drogę, która do krat żelaznych więzienia prowadzi — ale mimo własnego cierpienia spostrzegła ubogą kobietę i schyliła się ku niej żegnając ją krzyżem, bo wiedziała, że na straszną tę rozpacz słowo byłoby już nieskutecznem.

— Biedna kobieto, rzekła, co ci jest? mów! wstań, nie poddawaj się... opamiętaj. Bóg litościw!!

— Bóg i Bóg nie ma litości! z dzikim śmiechem odpowiedziała Preslerowa... zabrał mi dziecko moje jedyne...

— Nie tyś jedna taką sierotą, odrzekła kobieta.... jam równie wypróbowana, syn mój jest tu także za temi murami, a ja nawet twarzy jego widzieć, głosu posłyszeć nie mogę. I przychodzę tu co dnia daremnie, i błagam ich, napróżno... i odchodzę bez nadziei.

— A! chyba nie kochałaś syna...

— Ja! kobieto nie bluźnij... on mi był jeden na świecie... ja nie mam nadeń nikogo — ale ja ufam w miłosierdzie Boże...

Tą razą kobieta podniosła na nią oczy nic nie mówiąc, a po chwili szepnęła:

— Módl się i za mnie, jam zapomniała się modlić...

— Chodź ze mną... ja cię nauczę, modlić się będziemy razem...

Pierwsze to było słowo pociechy jakie usłyszała nieszczęśliwa i posłuszna mu wstała powoli, jak dziecię słabe dając się prowadzić... Przyszła już była do tego stanu odrętwienia w którem długie dawniej dni spędzała, ale stokroć było teraz straszniej, bo myśl nawet, ta czarna towarzyszka godzin samotnych, z głowy jej uciekła i ciemności oblały ją nieprzebite, — z szału przeszła w niemoc zupełną..

Potrzeba było litościwej niewieście, która ją wyrwać chciała z tego miejsca, pomocy dwóch najętych ludzi, aby wsadzić do powozu i uwieść do miasta.

* * *

Presler idąc tak szalony i nieprzytomny wprost tylko ciągle przed siebie, znajdował się naprzeciw Dominikańskiego kościoła i machinalnie zwrócić się miał ku Długiej ulicy, gdy za sobą głos jakiś wołający go po nazwisku usłyszał. Odwrócił się i ujrzał Muszyńca srodze pijanego, który nań kiwał, zarazem grożąc mu na nosie. — Szanowny ten kolega był w tak dobrym humorze, że się na nogach utrzymać nie mógł, twarz jego zwykle bladą okrywał rumieniec tej barwy jaką ma zwykle mięso świeżo zabitego zwierzęcia. Usta uśmiechały się tą wesołością wódczaną, która się ze wszystkiego na świecie śmiać gotowa, oczki błyszczały złośliwym sprytem, który spotęgowała siła pochłoniętego trunku. Presler stanął, i czekał na spieszącego ku niemu człowieka.

— A! niegodziwcze ty jakiś! zakrzyczał nań Muszyniec, otoś mi figla wypłatał, ha! wziąłeś mi z przed nosa, na co ja tak długo polowałem! I klapnął go po ramieniu.

— No, niech cię djabli wezmą, nie gniewam się. Ja się sobie zrewanżuję. Ale powiedz mi, tak sumiennie jak między ludźmi honorowymi przystało, co też oni cic zapłacili?

Na wspomnienie samo wypadku, który tak gorzkie za sobą pociągnął następstwa, Presler aż się wzdrygnął. Spojrzenie na wyraz jego twarzy przestraszyło nawet pijanego towarzysza, który dodał szybko.

— Cóż ci to? chory? czy cię pobili? twarz cała w sińcach! czy cię już ta hałastra uliczna wyszpiegowała i napadła?

— A! nieszczęście, odparł głuchym głosem porucznik. Przeklęty ten dzień i godzina kiedym gębę otworzył; wszystkie klęski spadły na mnie! Stała się najokropniejsza rzecz, najstraszniejsza zbrodnia jaką kiedy człowiek popełnił — ja im wydałem własnego syna, a te katy, ci ciemiężcy, nie chcą mi go uwolnić! zabity jestem! zabity!

Muszyniec spuścił głowę, zrobił minę kwaśną i machnął ręką w powietrzu.

— Toś ty miał syna, rzekł, i takiego co już spiskował! A to historya! jeszcze podobnej jak żyję nie słyszałem. Cóż myślisz począć?

— Padałem im do nóg, pełzałem po ziemi, płakałem, nic nie pomogło! Żona leży jak martwa pod cytadelą, sam nie wiem co począć; jak nic nie poradzę, to w łeb sobie strzelę.

— Eh! to znowu głupstwo, rzekł z rezygnacyą pijaka Muszyniec. Powiedz mi, na co się to komu kiedy zdało, mózg sobie w powietrze wysadzić? operacya niewygodna, a skutek żaden! Poczekajno, pogadamy o tem, ale w ulicy rozprawiać nie do rzeczy; wiesz co, chodźmy gdzie do szynku?

Presler głową kiwnął, i zawrócili się milczący na ulicę Freta gdzie Muszyniec miał dobrego znajomego w gospodarzu małego bilardku nie opodal od Dominikańskiego kościoła. Mając wzgląd na smutne położenie Preslera, Muszyniec wziął traktament na swój rachunek, kazał podać chleba, soli, wódki, a widząc jak zgłodzony towarzysz ze zwierzęcą bezprzytomnością rzucił się na jadło, mrugnął, aby przyniesiono serdelków i gdy usiedli za stołem począł wypytywać.

Presler był w tem usposobieniu potrzebującem wywnętrzenia, które otwiera usta i serce.

Mówił, skarżył się, płakał, nie mogąc się uspokoić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P

13) (Ciąg dalszy.)

Nagle przyszła mu świetna myśl do głowy i o mało nie krzyknął z radości.

— Ten dom — rzekł sobie w duszy, — posłuży mi za wyborne mieszkanie! Poddasze jest wyższe, niż mur klasztorny, będę więc mógł wszystko dokładnie obserwować. Ale jak się tam dostać!

Nie czekając długo wyłamał w okamgnieniu deskę w drzwiach nawpół spróchniałych i przez otwór ten wsunął się na małe podwórko, zarosłe zielskiem. Najtrudniejsza rzecz była więc spełniona i teraz wszedł już śmiało do wnętrza domu, jak gdyby umyślnie zbudowanego dla jego okropnych zamiarów. Ale zaledwie otworzył drzwi do jednego z pokojów, gdy cofnął się przestraszony. Na podłodze były świeże ślady wielkich, ciężkich, drewnianych trzewików!

Odkrycie przestraszyło go tak, że w pierwszej chwili chciał już uciekać, ale potem pomyślał, że to pewnie jaki złodziej na owoc. Bo dom ten był z jednej strony otoczony małym owocowym ogrodem, pełnym krzewów i zarośli, w których doskonale można się było ukryć.

— Zdaje mi się, — szepnął Robert, oglądając się uważnie na wszystkie strony, — że tu jednak ktoś mieszka. A więc muszę być ostrożnym!

ROZDZIAŁ 14.

Zaledwie Robert wyszedł z mieszkania Loli, gdy ktoś zapukał do drzwi. Przed tygodniem byłoby takie pukanie niezmiernie przestraszyło Lolę i jej narzeczonego, bo mógł tylko przyjść jaki wierzyciel lub policyant, dziś, mając kieszenie napełnione złotem, nie potrzebowali się niczego obawiać.

Alfons zerwał się natychmiast, i nie pytając nawet, kto chce wejść, otworzył drzwi.

Ale jakie było jego zdumienie, gdy ujrzał owych dwóch agentów, panów Blanc i Miret!

Blanc uśmiechnięty jak zwykle, kłaniał się nizko, Miret zaś stał wyprostowany i ponury i nie pochylił nawet głowy.

— Wybacz pan, — odezwał się Blanc, — że przychodzimy tu tak wcześnie, ale pilno nam było powinszować pani......

Alfons domyślił się natychmiast, w jakim celu agenci przyszli i przywitał ich bardzo chłodno.

— Czegóż panowie żądacie? — zapytała Lola. — Czy przynosicie mi wiadomość o drugiej sukcesyi.

— Niestety, tym razem nie! — westchnął Blanc. — Ale bądź pani przekonaną, że nikt tego tak nie żałuje, jak my!

I zanim się Lola spostrzegła, przysunął sobie krzesło i usiadł wygodnie. Miret uczynił tak samo. Goście siedzieli więc — Lola zaś i Alfons stali bezradni, nie wiedząc, jak się pozbyć tak natrętnych ludzi.

— Po co przyszliście tu panowie? — zapytał nareszcie Alfons szorstko.

— Po to, aby się dowiedzieć, czy panna Verdier otrzymała sukcesyą! Bo nam chodzi o to, aby nasi klienci byli zadowoleni z naszych usług.

— Panna Verdier otrzymała pieniądze i koniec na tem.

— O nie, łaskawy panie, nie koniec na tem! Zapomnieliście państwo o przyrzeczeniu, jakie daliście nam, gdy byliśmy u panny Verdier pierwszym razem?

— Przyrzeczenie? Jakie? — zawołała Lola.

— Że w razie otrzymania pieniędzy da nam pani pewną gratyfikacyą. A zatem......

— Eh, moja narzeczona tak znowu wiele nie dostała, — zawołał Alfons, skąpy już i chciwy. — Parę tysięcy franków — nie wielka rzecz.

— Jednak za każdą usługę należy się zapłata, — rzekł słodko Blanc.

— Pan Nivel zapłacił panom to, co się należało, — odpowiedziała Lola. I w niej zbudziło się już skąpstwo i pragnienie złota.

— Tak jest, — dodał Alfons. — Pracowaliście dla notaryusza, więc on was wynagrodzi. My z tem nie mamy nic do czynienia. Żegnam panów!

— Wolno, wolno, — odezwał się teraz Miret uroczyście. — Panna Verdier nie powinna zapominać, w jakiem smutnem była położeniu, gdyśmy ją poznali. Nie byłoby jej pewnie przyjemnem, gdyby się to rozgłosiło!

— Ach, my tego nie uczynimy, — zawołał Blanc, — co komu do tego, jaką panna Verdier miała nieprzyjemność w swem życiu.....

Lola zbladła, Alfons zaś zerwał się jak szalony i przyskoczył do wiecznie uśmiechniętego Blanca.

— Śmiesz nam grozić łotrze! — krzyknął w uniesieniu. — Precz ztąd! Natychmiast.

Agenci byli już przy drzwiach. Groźnie podniesiona pięść Alfonsa przejmowała ich niezmiernym strachem.

— Więc to jest ostatnie pana słowo? — wyjąkał Blanc, kładąc rękę na klamce.

— Tak!

— To dobrze! Przyzwoici ludzie dotrzymują wprawdzie zawsze danego przyrzeczenia, ale tu..... widzę..... że.....

— Precz, — zawołała Lola oburzona. — Nie daję podarunków tym, którzy mnie obrażają!

— Proszę, jaka duma! Gdzie się pani tego tonu nauczyłaś? Czy może w wię....

Ale Blanc nie dokończył zdania. W tejże bowiem chwili porwał Alfons kij, stojący w kącie i podniósł go tak wyraźnie, że obydwaj agenci byli w okamgnieniu za drzwiami. Zdaleka tylko było jeszcze można słyszeć groźne wołanie Blanca:

— Do widzenia, piękna pani! Daję ci słowo, że się raz jeszcze w życiu zobaczymy.

Gdy się już bezpiecznie znaleźli na ulicy, odetchnął Miret ciężko i rzekł:

Wyrzucono nas poprostu!

— Tak, ale ja im tego nie daruję! — szepnął Blanc przez zaciśnięte zęby.

— Rozmówimy się jeszcze z nimi, trzeba mieć tylko cierpliwość!

— Jakie kłamstwo, że dostała kilka tysięcy franków! Sto tysięcy! Ani grosza mniej!

— Oni myślą, że my o niczem nie wiemy! No, czekajcie! Zapłacicie wy nam więcej, niż myślicie!

Rozmawiając tak, weszli obydwaj do jakiejś podrzędnej kawiarni, aby się nieco pokrzepić po doznanym zawodzie. Blanc był jednak dziwnie milczący i dopiero po czwartym kieliszku koniaku pochylił się do swego przyjaciela i szepnął mu z uśmiechem:

— Sto tysięcy franków!

— Piękny majątek!

— Wiesz co, jeżeli nie chcieli nam dać małej części tych pieniędzy, to weźmy wszystko!

— Jakto?

— Czekaj tylko, aż sobie wszystko dobrze rozważę, mam już początek planu! Piękna Lola i jej narzeczony pożałują swej niewdzięczności!

ROZDZIAŁ 15.

Po odejściu agentów zapanowało w pokoju Loli głębokie milczenie. Groźne słowa, jakie Blanc im wychodząc, powiedział, wzbudziły w narzeczonych niemałą obawę, i Alfons żałował teraz gorzko swego uniesienia.

W położeniu jego i Loli niejedna była ciemna chwila, a teraz, gdy zamierzali za pomocą zbrodni zdobyć sobie miliony, nie powinni byli narażać sobie ludzi tak niebezpiecznych, jak Blanc i Miret.

Lola pierwsza przerwała milczenie.

— Zrobiliśmy wielkie głupstwo, — rzekła ostro, — i to ty wszystkiemu jesteś winien. Jednym tysiąc frankowym banknotem bylibyśmy im zamknęli usta, teraz zaś będą oni szukali zemsty na nas!

— Pleciesz, — zawołał Alfons rozgniewany, nie chcąc się przyznać, że myślał tak samo, — te tysiąc franków przydadzą nam się lepiej.... Jak oni zresztą mają się mścić na nas?

— Mogą o nas opowiadać wszędzie...

— Tego nie uczynią, a chociażby... no, cóż nam to szkodzi? Mamy pieniądze, wkrótce będziemy ich mieć więcej, więc nie potrzebujemy się niczego obawiać!

— Nie zmienimy też tego, co się stało. Zabierzmy się lepiej do roboty!

— Do jakiej?

— Przedewszystkiem muszę się wyprowadzić z tego nędznego mieszkania — poszukam sobie inne, lepsze, w innej części miasta. Tutaj znają mnie wszyscy!

Masz słuszność. Policya lubi kontrolować hotele, weź zatem mieszkanie prywatne. Powinniśmy się oboje starać usilnie o to, aby policya o nas zapomniała.

— Ciekawam, — rzekła Lola po chwili, — co się stało z Robertem?

— Nie wiem, ale jestem przekonany, że się zabrał już do roboty. Ten chłopiec jest godny podziwienia, ja przecież — boję go się!

— Tak, jest on na swój wiek nadzwyczaj umysłowo rozwinięty, sprytny i przebiegły. Ale do wykonania takiego planu jeszcze pewnie za młody!

— Ja mogę służyć mu radą. Dziś wieczorem musisz iść ze mną do matki, tam się dowiemy, co się z nim dzieje!

— Byleby już był zaczął...

— On nie jest leniwy. A teraz idźmy szukać mieszkania dla ciebie. W jakiej okolicy życzysz sobie wynająć pokoje?

— Myślałam o Avenue Truidaine. Tam mieszkają tylko ludzie zamożni i mieszkania są dosyć drogie, ale...

— O kilkaset franków nie chodzi.

Lola zabrała się i po upływie godziny miała już mieszkanie takie, jakiego pragnęła. Że było późno, przeto mogła je zająć natychmiast, a nie chcąc, aby właściciel domu zasięgał o niej informacyi, zapłaciła zaraz z góry komorne na pół roku i dała dwadzieścia franków odźwiernej. Wiedziała, że to jest najlepszy sposób zaspokojenia ciekawości tych ludzi.

A gdy odźwierna zapytała o nazwisko nowej lokatorki, zawołał Alfons żywo:

— Panna Martin!

Potem poprosiła Lola o wyczyszczenie mieszkania i poszła z Alfonsem meble kupować, a ledwie stanęli oboje na ulicy, zdjęła odźwierna z drzwi kartę z napisem „tu jest mieszkanie do wynajęcia''. W tejże samej chwili — dziwnem zrządzeniem przypadku, przechodzili tędy panowie Blanc i Miret, i stanęli zdziwieni. Poznali natychmiast Alfonsa i Lolę i widzieli odźwierną, zdejmującą kartę z drzwi.

— O, o, — zawołał Blanc. — Widziałeś?

— Tak! — odrzekł Miret.

— To Lola Verdier!

— I jej narzeczony. Ten łotr, który śmiał kij podnieść na nas!

— Po co oni tu przyszli?

— To nie trudno odgadnąć! Wynajęli tutaj mieszkanie!

— Gdzie?

— No, w tym domu, z którego odźwierna zdejmowała kartę.

— Musimy się przekonać, czy to prawda. Zaczekajmy, aż się oddalą trochę, a potem pójdziemy zapytać odźwiernej.

Alfons tymczasem i Lola, nie przeczuwając wcale obecności agentów, wsiedli do dorożki i kazali się zawieść do jednego z tych składów, w których w przeciągu pół godziny otrzymać można całe umeblowanie mieszkania, począwszy od pościeli aż do lamp i obrazów. Lola pragnęła jak najprędzej opuścić swój nędzny pokój w podrzędnym hotelu, w którym tyle doznała przykrości.

Zaledwie dorożka ruszyła z miejsca, zbliżyli się agenci do domu, przed którym jeszcze stała odźwierna.

— Przepraszam panią, — zaczął Blanc uprzejmie, — chciałbym tylko zapytać, czy tu mieszka panna Ludwika Verdier.

— Verdier — nie, nie znam jej, — odrzekła odźwierna.

— W takim razie musiałem się omylić w numerze domu.

— No i cóż, — szepnął Miret.

— Albo nie wynajęła w tym domu wcale mieszkania, — odparł Blanc, — albo przybrała inne nazwisko.

— Może jako panna Martin! Ale i tego dowiedzieć się nie trudno. Przyjdę tu za godzinę i zapytam o pannę Martin. Odźwierna nie domyśli się niczego.

I tak też zrobił w istocie. Po upływie godziny przyszedł tu znowu i udał się tym razem do odźwiernego.

— Mógłbym się widzieć z panną Martin? — zapytał.

— Ona sprowadzi się dopiero dziś na wieczór. Proszę o nazwisko pana, — odpowiedział odźwierny.

— Nie potrzeba. Przyjdę tu jutro!

Agenci wiedzieli teraz to, czego wiedzieć chcieli i Miret aż się uśmiechnął z radości.

— Dzięki Bogu, — zawołał. — Wiemy, gdzie ich szukać. Z naszych rąk nie wyjdą oni bez szwanku!

ROZDZIAŁ 16.

Robert Martin tymczasem nie tracił czasu w Saint-Maur-les-Fosses.

Nie wiedząc, czy domek, do którego się zakradł, był zamieszkały, postanowił zachować jak największą ostrożność. Ślady stóp wiodły aż do otworu w murze domu, który był widocznie dawniej oknem sklepu, opatrzonem żelazną kratą.

— Tu ktoś mieszka, z pewnością, — pomyślał, — i wchodzi i wychodzi tym otworem!

I rzeczywiście, żelazna krata dała się unieść z nadzwyczajną łatwością.

Robert zajrzał ciekawie do sklepu. Z początku nie mógł nic widzieć, lecz gdy się oczy przyzwyczaiły do ciemności, poznał, że sklep wcale nie był głęboki i zupełnie próżny. Nie namyślając się długo, przecisnął się przez otwór i stanął na wilgotnej ziemi w sklepie.

I nie omylił się — nie było tu zgoła nic, żadnego sprzętu, żadnego przedmiotu, zdradzającego pobyt człowieka, ale w przeciwległej ścianie znajdowały się drzwi. Gustaw otworzył je natychmiast i wszedł do innego sklepu, zupełnie ciemnego. Wyjął więc z kieszeni pudełko zapałek, zapalił jednę i — krzyknął mimowoli głośno.

— Oj, to źle! Tu ktoś mieszka!

W jednym kącie ujrzał snop słomy, na której był jeszcze odcisk ciała ludzkiego, w drugim zaś kącie leżało trochę bielizny i flaszka z utłuczoną szyjką, w której tkwiła cienka, łojowa świeczka.

Gustaw zapalił ją i zaczął się oglądać wokoło. Najpierw przerzucił paczkę z bielizną i znalazł w niej jeszcze paletot jesienny, rękawiczki, pugilares i portmonetkę, w której było czterdzieści franków. Wierny swym zasadom, chciał już portmonetkę wsunąć do kieszeni, lecz po krótkim namyśle położył ją tam, zkąd ją wziął. Potem wyjął z pugilaresu książeczkę służbową i na pierwszej zaraz stronie następujące przeczytał słowa:

„Henryk Parces, syn niewiadomych rodziców, wychowany w domu podrzutków i zapisany tamże pod numerem 15,049.''

— Henryk Parces! — pomyślał Robert, — to nazwisko nie jest mi obcem! Ale wiem już, służył on w handlu koni, Dawida! Bawiliśmy się przecież razem przed laty! Ale co on tu robi? Jest to niewygodny sąsiad! W każdym razie ja zamieszkam na górze, dom ten jest dosyć dla nas dwóch obszerny. Jeżeli mi pomimo to będzie zawadzał... no, zobaczymy!

Robert ułożył wszystko w porządku i spostrzegłszy wązkie schody, wiodące na górę, udał się na parter. Pokoje były tu bardzo zaniedbane, tapety wisiały na ścianach poobrywane, a podłoga pokryta była zielonawą pleśnią. Obejrzawszy wszystko dokładnie poszedł na pierwsze piętro i znalazł tu małą izdebkę o dwóch oknach, których szyby były potłuczone, i okiennice na kilku tylko zawieszone gwoździach.

Ztąd mógł wygodnie widzieć wszystko, czego mu było potrzeba, chodziło mu jedynie o to, aby jego nikt nie widział.

Nagle zadrżał, wyciągnął szyję i stanął jak tygrys, zamierzający rzucić się na upatrzoną zdobycz.

Na ganku ukazała się Nora w towarzystwie Helenki, a obiedwie tak były zajęte rozmową, że ani im na myśl nie przyszło spojrzeć na okna pustego domu. Robert poznał Norę natychmiast — opis Loli bardzo był dokładny, tem więcej, że Nora miała dziś tę samą suknię, w jakiej ją Lola widziała.

Robert byłby dał nie wiedzieć co za to, gdyby był mógł podsłuchać ich rozmowę, ale to było wprost niemożliwem. Zeszedł więc znowu do sklepu, postawił świecę tam

gdzie stała i wyszedł tą samą drogą, którą tu wszedł, na ulicę, zupełnie o tej porze pustą.

Nie mając chwilowo nic do czynienia, postanowił pojechać do Paryża i postarać się o rzeczy i narzędzia, potrzebne do wykonania swego planu, poczem na noc chciał wrócić do swego nowego mieszkania. Udał się więc prosto na dworzec i na połowie drogi ujrzał idącego ku sobie młodego chłopaka, ubranego bardzo nędznie, lecz o twarzy ładnej i sympatycznej. I gdy się zeszli obydwaj, stanął ów chłopiec i spojrzawszy uważnie na Roberta, zawołał zdumiony:

— Jak się masz Robercie!

— Ah, to ty Henryku! — odrzekł Robert.

— Tak, to ja! Ale zkąd ty się tu wziąłeś?

Obydwaj towarzysze patrzeli na siebie z widocznem podejrzeniem.

— Odwiedzałem krewnych mojej matki, — odrzekł Robert śmiało. — A ty mieszkasz tu w tej okolicy?

— Tak, mam tu robotę!

— Gdzie?

— Na brzegach rzeki.

— U kogo?

— Gdzie się zdarzy! Za tydzień idę w służbę do handlarza drobiu w Creteil, tymczasem pomagam spuszczać czółna na rzekę i sprzedaję rybakom glizdy, których potrzebują do zakładania wędki, jednem słowem robię, co mogę, aby żyć! Chcesz iść ze mną na kieliszek koniaku?

— Nie dziękuję, — odrzekł Robert, uważając, że lepiej nie pokazywać mu się w towarzystwie Henryka. — Dawniej służyłeś przecież u Dawida, nieprawdaż?

— Tak, ale raz kopnął mnie koń tak silnie, że straciłem chęć służenia nadal przy koniach. Jestem teraz kulawy na całe życie!

— Zdaje się, że nie masz szczęścia! Gdzie mieszkasz?

— Nigdzie, to jest..... mam pokoik.....

— Gdy znów tu przyjadę, odwiedzę ciebie, tymczasem bywaj zdrów, muszę się spieszyć na dworzec, bo dziś jeszcze wracam do Paryża.

I każdy z nich w inną poszedł stronę.

Robert śmiał się w duszy z Henryka i z jego zakłopotania, gdy go zapytał o mieszkanie, i nazwał go skąpcem. Mieć czterdzieści franków i spać w tym lochu! A na myśl, że chłopiec ten może mu mimowoli stanąć na przeszkodzie w wypełnieniu jego zamiarów, wykrzywił swe wązkie usta w tak strasznym uśmiechu, że nawet wytrawny zbrodniarz byłby zadrżał na widok tej twarzy okropnej.

— Gdyby mi zawadzał, rzekł głośno, — to się prędko z nim załatwię!

Gdy stanął w mieszkaniu matki około szóstej, zastał tam Alfonsa z Lolą.

ROZDZIAŁ 17.

Alfons i Lola załatwiwszy się z kupnem mebli, które zaraz do nowego odesłali mieszkania, pojechali do pani Martin, aby się czegoś o Robercie dowiedzieć.

Stara tandeciarka przywitała Lolę bardzo uprzejmie, dziewczyna mająca już sto tysięcy franków i widoki na miliony, była jej wielce pożądaną synową.

Wycieczka Roberta jedną była przykrością, jakiej obecnie doznawała. Chociaż nie słyszała całej wczorajszej rozmowy swoich synów, to jednak znała ich tak dobrze, że wiedziała, jaki plan ułożyli. Ale nie zdradzała swej domyślności, nie miała bowiem dosyć odwagi do jawnego brania udziału w zbrodni. Chciała tylko korzystać z rezultatu, lękając się zwrócenia na siebie jakiegobądź podejrzenia. To też odgrywała teraz rolę czułej matki, troszczącej się o nieobecnego syna.

— Nie wiem, — rzekła, — co wczoraj uradziliście i nie jestem wcale ciekawa, ale nie dobrze, że wtajemniczyliście Roberta w nasze plany. Pomimo swego rozumu i przebiegłości jest on jeszcze dzieckiem i gdyby go jakieś nieszczęście spotkać miało... ach, nie przeżyłabym tego! Gdzie on tak długo bawi! Czemu nie wraca do domu!

Ale w tejże chwili otworzyły się gwałtownie drzwi i Robert wbiegł do pokoju.

— Otóż jestem! — zawołał, rzucając się w objęcia matki.

Pani Martin uściskała go serdecznie.

— No i cóż? — zapytał Alfons.

— Nie straciłem czasu daremnie, — odrzekł chłopiec dumnie. — I możecie mnie nazwać największym w świecie głupcem, jeżeli w przeciągu dwóch tygodni nie będzie Lola jedną z najświetniejszych partyi w Paryżu!

— Jakto!

— Zaraz, zaraz! Przedewszystkiem zamknijcie drzwi, bo to rzeczy ważne, a potem dajcie mi kolacyę, bo jestem strasznie głodny.

— Matka schowała obiad dla ciebie, — szepnęła Lola.

— O, to dobrze! Nie wierzycie, jakiego się apetytu nabiera na świeżem, wiejskiem powietrzu, — odrzekł Robert z bezczelnym uśmiechem.

Pani Martin i Lola przygotowały talerze i półmiski i Robert zabrał się z niezmiernym apetytem do jedzenia.

— Nie dziwcie się, — rzekł, wsuwając w usta olbrzymie kawały mięsa, — że się tak spieszę, ale dziś jeszcze wracam do Saint-Maur-les Fosses.

— Więc tam byłeś dzisiaj? — zawołał Alfons.

—Tak, i widziałem pannę Garrel.

— Więc ona znowu jest w klasztorze? — spytała Lola zdumiona.

— Tak!

— A ślub jej..... czy zerwała może zaręczyny z hrabią Noirville?

— Bynajmniej, ślub jej odbędzie się za cztery tygodnie i cały ten czas pragnie przepędzić w klasztorze!

— Dlaczego? — badała Lolo zamyślona.

— Cóż nas to obchodzi? Jest ona tam obecnie sama, opiekun jej wrócił do Paryża. Interesuje mnie to o tyle, że jest dla naszych planów bardzo korzystne.

— Zkąd wiesz o tem wszystkiem?

— O, ja wiem jeszcze więcej! Najpierw trzeba mi było poznać pannę Garrel, potem dowiedzieć się, na który dzień ślub wyznaczony i czy będzie można zbliżyć się do niej. No i teraz wiem czego wiedzieć chciałem.

Na żądanie Alfonsa opowiedział wszystko, co dziś już wykonał, a matka i Lola nie mogły wyjść z podziwu nad jego przebiegłością.

— Jaki on mądry! Jaki sprytny! — szeptała pani Martin wzruszona.

— Myślę, że wkrótce będę wam mógł lepszych udzielić wiadomości, — zawołał siedemnastoletni złoczyńca.

— Ale ja nie chcę, — odezwała się nagle Lola, — abyś ty się sam na wszystko narażał!

Wiedziała ona, że tą pozorną troskliwością podwoi jego gorliwość. I nie myliła się.

— Nie, nie, — zawołał Robert żywo, wzruszony jej dobrocią, — dajcie mi pokój, ja sam to wszystko załatwię. Mnie nikt podejrzywać nie będzie. Wy moglibyście stracić przy tem głowy — mnie włos z mojej nie spadnie!

Pani Martin zadrżała — Lola i Alfonns spuścili oczy i milczeli. Może im przyszło na myśl, jaki los by ich czekał w razie nieudania się zamiarów Roberta...

— Ja sam zacząłem tę sprawę, — odezwał się znowu, Robert, — i sam ją zakończę. Jeżeli będę potrzebował waszej pomocy, to się do was udam.

— Gdzie jest hrabia Noirville? — zapytał Alfons. — On cię może spostrzedz i odgadnąć twoje zamiary!

— Eh, on nie ma na to dosyć rozumu, — odrzekł Robert lekceważąco, — zresztą wiemy, że panna Garrel niechętnie za niego wychodzi. Ja myślę, że ona kocha innego i że dla tego tylko chciała być w klasztorze, aby tego innego widywać mogła!

— Ale to nam może bardzo zaszkodzić!

— Czemu?

— Bo ten, którego kocha, będzie czuwał nad nią!

— Dlatego muszę się spieszyć, — szepnął Robert. — Nie mam ani chwili do stracenia.

— Więc od czego zaczniesz?

— To zależy od okoliczności, tymczasem stanę na straży w owym pustym domu. Nie jest to bardzo przyjemne mieszkanie, ale z okien poddasza widać cały ogród klasztorny. Widziałem już hrabiankę Garrel w towarzystwie jakiejś innej pensyonarki, ładnej brunetki! A ja tak lubię brunetki, — dodał, patrząc błyszczącemi oczami na Lolę. — Nie mogłem wprawdzie rozumieć tego, co mówiły, ale później może i na to znajdzie się rada. Obie wyglądały tak, jak gdyby je jaka przykrość była spotkała, zdawało mi się nawet, że płakały!

— Strzeż się tylko, — upominał go Alfons, któremu cała ta sprawa coraz niebezpieczniejszą się wydawała, — najmniejsza nieostrożność zgubić nas może!

— Nie obawiaj się niczego, — zawołał Robert, — którego uśmiechy i spojrzenia Loli do szału doprowadzały.

— Ach mój synku, — zaczęła teraz pani Martin płaczliwym głosem, jaki zawsze miała po wypiciu kilku koniaków, — ty nie mówisz już do mnie zdrów i cały. Jestem pewną, że cię tam spotka jakie nieszczęście, a ja umrę z żalu!

— No, no, tak źle nie będzie, — roześmiał się chłopak, — dla milionów warto się już narazić na trochę niebezpieczeństwa.

— Ale jeżeli ci się plany twoje nie powiodą?

— Nie bój się matko, będziesz nawet wielką panią! Ten nędzny sklep zamkniemy i kupimy sobie piękne meble i jedwabną pościel! Sprawimy karetę, konie i zaczniemy używać świata co się zowie. Ale teraz muszę iść. Bądźcie tylko o mnie spokojni, ta cała sprawa bardzo mnie interesuje i bawi, i całą odpowiedzialność biorę na siebie!

ROZDZIAŁ 18.

Pani Martin otarła oczy — słowa Roberta głębokie na niej wywarły wrażenie i uspokoiły ją bardzo prędko.

Robert, nie chcąc wzbudzać obawy w matce, bracie i Loli, nie wspomniał nic o tem, że opustoszały domek w Sain-Maur-les-Fosses miał jeszcze jednego mieszkańca i zamilczał też o swojem spotkaniu się z Henrykiem. Wiedział, że z tej strony może mu grozić niebezpieczeństwo, ale chciał sobie zachować swobodę działania i dla tego postanowił nie mówić nic o tem.

Po zjedzeniu obiadu podniósł się z krzesła i zapalił papierosa.

— Odchodzisz już? — spytała matka.

— Muszę najpierw zapakować rzeczy, które mi są potrzebne do mego wiejskiego mieszkania, — odrzekł. — Lubię wygodę!

I poszedłszy do swego pokoju na górę, zapakował stare, wytarte ubranie, trochę bielizny, czapkę i wełnianą kołdrę.

— Przeprowadzasz się, widać, na dobre, — zawołał Alfons, gdy Robert z tłumokiem w ręku stanął na progu.

— Zapewne, czemu się nie mam urządzić wygodnie! — odrzekł.

Potem udał się do składu i wybrał cały stos rozmaitych narzędzi, szrub, młotków, świdrów, piłek, kilka starych zamków, wytrychów i kluczy. Wszystko to włożył starannie do tłumoka i mocnym związał sznurem.

— Czemu zabierasz to żelaztwo? — zapytał Alfons.

— Nie można wiedzieć, na co mi się przyda — mianowicie wytrychy! Ale teraz muszę się zaopatrzyć w najważniejsze, to jest w pieniądze, — rzekł stanowczo i zwrócił się ku matce i Loli.

Słowa jego i wyraz twarzy świadczyły, że nie prosi, tylko że żąda pieniędzy, a nietylko obie kobiety ale nawet brat poddawał się rozkazom tego młodego złoczyńcy, który okazywał więcej stanowczości i energii, niż niejeden stary zbrodniarz.

Milcząc, otworzył Alfons swoją portmonetkę, napełnioną wspaniałomyślną ręką narzeczonej i dał mu sto franków w złocie.

— Zapisz to na wspólny rachunek kosztów naszego przedsięwzięcia, — rzekł Robert. — Teraz bywajcie zdrowi! Ale prawda, byłbym zapomniał!

I otworzywszy szafę, wyjął z niej duży, ostry kuchenny nóż.

Pani Martin zbladła.

— Nie bierz tego! — krzyknęła, biegnąc ku niemu.

— A czem chleb mam krajać? — odrzekł, uśmiechając się swobodnie.

Lola spuściła oczy, Alfons odwrócił się do okna i przez chwilę zapanowało milczenie w pokoju.

— Nie bierz tego noża, — powtórzyła pani Martin. — Masz jakieś okropne zamiary — aż drżę z strachu na myśl tego, co uczynić zamierzasz! Chciałabym wprawdzie być bogatą, ale nie chcę zbrodni! Nie chcę krwi! Rozumiesz?

— Któż tu mówi o zbrodni? — zawołał Robert szorstko.

— Tego się przecież obawiać nie potrzebujemy, — odezwała się Lola. — Robert jest tak młody, że chociażby chciał nawet zbrodnią popełnić, to nie miałby siły do tego, a zresztą ja bym też nigdy na to nie pozwoliła!

— I ja nie, — dodał Alfons zmieszany.

— Dobrze, dobrze, — rzekł Robert, rzucając im znaczące spojrzenie, — po co tyle słów tracić! Potrzebuję noża do krajania chleba i mięsa, a nadto jakąś broń muszę mieć dla własnej obrony. Niechby mnie kto napadł w tym pustym domu?

— Ach, to się wszystko źle skończy, — biadała pani Martin. — Już ja mam takie przeczucie!

— No, no, bądźże rozsądną, matko. Wiesz, że umiem radzić o sobie, że jestem ostrożny. Ty masz swoje przeczucia, a ja moje, twoje są czarne, a moje — złote!

— Nie są one czarne, tylko czerwone, — odpowiedziała pani Martin z ciężkiem westchnieniem.

— Przesadzasz matko, — rzekł Alfons zniecierpliwiony tą sceną.

— Ani ty ani Lola nie ryzykujecie nic, podczas kiedy Robert.....

Ale Robert nie czekał już dłużej. Uściskał matkę i Alfonsa, Lolę pocałował w rękę i wybiegł z pokoju, nie chciał się bowiem spóźnić na pociąg.

I spieszył się tak, że wziął nawet dorożkę, ale poprzednio kupił jeszcze trochę wosku, latarnią, paczkę świec i kilka pudełek zapałek. Wszystkie te przedmioty umieścił w obszernych kieszeniach swego ubrania.

Tym razem jechał drugą klasą i był sam w wagonie, a gdy przybył do Saint-Maur było już zupełnie ciemno. Ani jedna gwiazdka nie świeciła na zachmurzonem niebie. Na ulicach nie spotkał nikogo, ale pomimo to szedł ostrożnie, ukrywając się w cieniu domów, pragnął bowiem przedewszystkiem uniknąć powtórnego spotkania się z Henrykiem Parces.

Im więcej zbliżał się do swego nowego mieszkania, tem częściej oglądał się, czy kto za nim nie idzie, ale szczęście i tutaj mu sprzyjało. Żywej duszy nie było w około. I gdy nareszcie stanął przed domem, zdjął buty, aby nie zbudzić śpiącego już pewnie oddawna w sklepie Henryka, i przecisnąwszy się przez wyłamane rano drzwi, wszedł ostrożnie na górę, na ono poddasze, które mu się wydało najlepszym punktem obserwacyjnym. Potem zamknął starannie drzwi, zdjął nowe ubranie i rozłożył na ziemi wełnianą kołdrę.

I po upływie dziesięciu minut spał tak głęboko i tak spokojnie, jak gdyby nigdy w życiu o zbrodniach nie był nawet słyszał!

ROZDZIAŁ 19.

Nazajutrz zbudził się Robert bardzo późno. W pierwszej chwili niemógł sobie przypomnieć, gdzie jest, ale gdy przetarł oczy i ujrzał przez okno wierzchołki drzew, rozstrzeźwiał natychmiast i zaczął się szybko ubierać.

W ogrodzie klasztornym głuche panowało milczenie, widocznie pensyonarki spały jeszcze.

Robert ułożył w jakiejś nawpół połamanej szafce swoje narzędzia i bieliznę i stanął przy oknie tak, że nie będąc widzianym z ogrodu, mógł sam wszystko doskonale obserwować. I ledwie minęło kilka minut, ujrzał Henryka Parces, przechodzącego przez podwórko na ulicę.

— Rychło mój sąsiad wstaje, — pomyślał. — Dokąd on idzie? Ah, ku grobli kolei żelaznej, czy tam jest jakie przejście? Muszę się przekonać! Doprawdy. — —

Henryk skręcił koło mostu i zniknął, co naprowadziło Roberta na trafny domysł, że kilka dróg wiodło do opuszczonego domu. Ale sąsiedztwo tego chłopca niepokoiło go coraz więcej, postanowił więc pozbyć go się w jakikolwiekbądź sposób!

Z uderzeniem godziny szóstej ukazał się w uliczce ogrodnik z taczkami, i wyjąwszy klucz z kieszeni, otworzył bramę ogrodową. Równocześnie zaczęły się otwierać okna w klasztorze — widocznie pensyonarki zaczęły teraz wstawać. Robert pochłaniał oczami okna i twarze panienek i nagle zadrżał. W jednem z okien pierwszego piętra ujrzał Norę i Helenkę.

— Pierwsze piętro — trzecie okno! Dobrze o tem wiedzieć, — szepnął.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ ILLUSTROWANY.

Z dziejów Humania.

Napisał **Stanisław Tchorzewski.**



Kozacy pułku humańskiego.



Typy ludowe z okolic Humania.

Skoro ujrzysz step dokoła
Najeżony mogiłami,
To kraina archanioła
Ukraina zlana łzami.

Tam dziewica smętna, rzewna
Nuta jej żałośnie śpiewna,
Bo o sławie, o kozaczej,
U nas było wprzód inaczej

Tam są wiedźmy, czarownice
Tam są kazki, wieczornice
Bujna ziemia, bujne plemię
I w zanadrzu przyszłość drzemie.

„Kwiatki nasze". Dyonizy Bąkowski.

Jednem z piękniejszych szmatów tej, opiewanej przez poetów „krainy anioła" jest Humańszczyzna. Dzieje jej nikną w pomroce wieków. W stepach humańskich kiedyś przebywali prawdopodobnie Scytowie i Sarmaci, następnie objęła je w posiadanie ludność słowiańska, nad którą panowali Tatarzy.

Po długich z nimi wojnach książę litewski Olgierd zdobył znaczną część kraju. Wtedy to Humańszczyzna później wcielona została do Litwy. Dalsze dzieje znane są już dokładnie. Z biegiem czasu Litwa połączyła się z Polską, a książęta litewscy nadawali obszerne ziemie szlachcie, która na gruntach pustych zakładała osady. Jakkolwiek południowe strony Ukrainy były ciągle narażane na napady tatarskie, pomimo to jednak Rusini, Litwini i Polacy, osiadając w tych stronach budowali folwarki, wsie i twierdze.

Za czasów Zygmunta III-go, przywilejem, wydanym dnia 13-go maja r. 1609-go, za znaczne i krwawe usługi i straż granic Rusi (Vol. Leg. 2-um Ustaw Sejmu 1609), Pustynia Humańska lub Wroczysko puste Humań zwane, 30 mil obwodu mające, ze wszystkiemi do niej należącemi wodami i lasami, wówczas położone w starostwie Bracławskiem, zostało nadane na własność staroście bracławskiemu, winnickiemu i zwinogrodzkiemu, generałowi ziem podolskich, Walentemu Aleksandrowi Kalinowskiemu, który w zamieszaniu i bitwie pod Cecorą utonął w Prucie r. 1620-go. Przywilej Zygmunta potwierdził Władysław IV.

Ziemie hunańskie rozciągały się od Sinych wód czyli rzeki Siniuchy lub tak zwanego Czarnego Szlaku, granicy Tatarów nohajskich, do rzeki Udycz, wpadającej do Bohu i do zamku bracławskiego, założonego w r. 1550-ym przez Bogusza, księcia Koreckiego, wojewodę wołyńskiego.

Szlakiem Czarnym nazywano w dokumentach dwie drogi tatarskie: krzywo-sarajską (sarowską) i udycką; ta ostatnia przechodziła koło jeziora Udycz, którego śladów dziś niemasz; istniało ono niegdyś około miasteczka Szaulichy i dokoła okrążone było siołami.

Cały kraj od rzeki Jahorlika był wówczas częścią województwa bracławskiego, aż do ujścia Dniestru.

Okolice Humania przedstawiają się dość malowniczo; przy wzniesionych brzegach rzeczułek i skalistych urwiskach rozrzucone na widnokręgu laski i głębokie jary rozpraszają jednostajność pustki stepowej. Bogaty

czarnoziem spoczywa na potężnych pokładach gliny — niżej spotykamy podłoże z szarych mas granitu. Gruba warstwa gliny pozwala bez obawy wiercić długie korytarze — „miny“, jak je tu nazywają; na minach tych cały prawie Humań spoczywa, oczekując na miłośników przeszłości, którzy dotychczas jakoś po macoszemu biorą sprawę badania tych podziemnych tuneli. Byłyby to ciekawe, chociaż dla braku świeżego powietrza — niebezpieczne wycieczki.

Kronika podaje wzmiankę o rzeczułce Humie pod rokiem 1497-ym. W roku tym książęta ruscy Michał i Konstanty Ostrogscy pobili na głowę Tatarów na brzegach rzeki Soroki w Bracławszczyźnie, a zapędziwszy ich do źródeł rzeki Humy, łupiezców w pień wycięli. Poległ i Achmet, syn chana krymskiego.

Pod silną prawicą książąt litewskich dobrze się działo osadnikom ukraińskim, ale pierwszy okres spokojnego zasiedlania kraju tego trwał niedługo. Mengli-gieraj przerywa węzeł dobrych stosunków z Litwą. Humańszczyzna znów wpada w ręce dzikich Ordyńców. Słabe objawy kolonizacyi ustają, lud jęczy pod jarzmem niewoli; nadługo zachodzi słońce spokoju; nad zgliszczami osad i nad stosami kości na stepie bezbrzeżnym rzuconych, panuje straszny półksiężyc...

W drugiej połowie XV-go wieku powiat humański zamiera: step krwawy — ogólne cmentarzysko nadziei i śmierci, nosił nazwę Humańszczyzny. Droga handlowa Czumaków, trakt główny pomiędzy Dniestrem i Dnieprem zamienił się w przejmujący grozą Szlak Czarny Rzplitej. Stepy humańskie stają się widownią mordów. W r. 1558-ym pobito wreszcie na głowę Tatarów.

Za panowania Zygmunta III-go Wazy (1587—1632), po uśmierzeniu Tatarów, niektórzy z bogatych panów znowu zaczynają skupowywać ziemie stepu humańskiego, dają powtórnie możność zasiedlenia tego pustkowia.

Autentycznych dowodów nie zachowano, kto mianowicie był założycielem miasta Humania, mniemać jednak należy, że Kalinowscy, jako pierwsi właściciele Humańszczyzny byli twórcami tego grodu w XVI-ym wieku.

W pierwszej połowie XVII-go w. Humańszczyzna zaczyna się zaludniać i na ten czas przypada powstanie Humania; przechodził on zwykłe fazy rozwoju aż do wielkości miasta.

Ludność ówczesna składała się głównie z kupców greckich, ormiańskich i żydowskich. Dla zabezpieczenia od napadów, zbudowano zamek z murowanym magazynem i budynkami służbowemi; na górnem piętrze magazynu była wieża ze strzelnicami; z zamku prowadziły dwie warowne bramy: jedna na Nowe miasto, druga w jarze strony przedmieścia Babanki. Przy tych bramach stała zawsze straż przy dwóch armatach; miasto obwarowano wałami, palisadą z ostrokołów i otoczono fosą. Nad spokojem czuwali Kozacy dworscy wybierani z okolicznych mieszkańców.

Wiosną 1629-go roku Kozacy humańscy goniąc powracających z jassyrem Tatarów, którzy po zrabowaniu futorów poblizkich do Krymu zmierzali, dopędziwszy ich w stepie, pobili niewiernych na głowę. Znaczniejsze zetknięcie się z Tatarami nastąpiło r. 1644-go, dnia 30-go stycznia, na północnych krańcach Humańszczyzny, między Woronnem i Ochmatowem, gdzie Stanisław Koniecpolski, hetman w. koronny, i kniaź Jarema Wiśniowiecki rozbili 20 tysięcy Ordyńców, plądrujących Ukrainę, pod przewodnictwem Tuhaj-beja, murzy z Perekopu, późniejszego druha Chmielnickiego.

W roku 1648 Chmielnicki zakłóca spokój; bracławska szlachta chroni się w strachu do silnych murów Humania, niedługo jednak opiera się przewadze Krzywonosa, oddając przez to Humań w ręce kozactwa na długie lata. Za czasów „Chmiela“ kwateruje w Humaniu pułk Kozaków z 13-stu secin złożony. Przybiera jednocześnie nazwę miasta. W skład posiadłości pułku humańskiego wchodził powiat humański, część wschodnia powiatu hajsyńskiego i zachodnia zwinogrodzkiego. Wiosną roku 1653-go na czele wojska polskiego stają pod Humaniem Stanisław Potocki i Stefan Czarniecki; Polacy spotkali tu opór w osobie dzielnego pułkownika winnickiego Bohuna, dobrze nam znanego z trylogii H. Sienkiewicza.

W roku 1654-ym Polacy mają krwawą i zaciętą utarczkę pod Humaniem z wojskiem cara Aleksego Michałowicza, z Kozakami połączonem; Stanisław Potocki podczas szturmu rujnuje miasto.

W lutym roku 1654-go, na radzie w Perejasławiu zwołanej, Bohdan Chmielnicki poddaje zadnieprską i przeddnieprską Ukrainę carowi Aleksemu Michałowiczowi. Ukrainę po raz pierwszy przezwano Małorosyą.

Zimą roku 1655-go, Humań oblega polsko-tatarskie wojsko; w obronie miasta znów występuje Bohun; w owe czasy Humań otaczały trzy wysokie wały i trzy suche fosy. Załoga liczyła 12 tysięcy Kozaków, nie licząc uzbrojonych mieszczan i chłopstwa. Miasto miało podówczas 30 tysięcy mieszkańców. Pomysłowy pułkownik rozkazał oblać wały wodą; Humań się nie poddał.

Ze śmiercią Chmielnickiego r. 1657 dnia 15-go sierpnia w Czehrynie i po zawarciu ugody pokojowej między Rosyą i Polską w r. 1667-ym dnia 30-go stycznia w Adruszowie Ukrainę rozdzielono na dwie części. Zachodnia część, inaczej mówiąc ziemie leżące z prawej strony Dniepru, przechodzą do rąk polskich. Humań więc znowu wraca do Korony.

Złowrogie chmury wisiały nad tą biedną ziemią w drugiej połowie wieku XVII-go, czemu niemało sprzyjała zmienność przekonań i poglądów hetmanów Ukrainy i wielka liczba kandydatów na ten wysoki urząd. Do roku 1677 losy ziem Ukrainy spoczywają w rękach Piotra Doroszeńki, który w r. 1665 przy pomocy Tatarów zostaje hetmanem. W r. 1669 Zaporoże wybiera hetmanem prawobrzegowej Ukrainy Suchowienkę; ten, nakłoniony przez Tatarów, wstępuje w ziemie Doroszeńki. Sześć pułków, a w liczbie tej i humański, przechodzą do nowego hetmana. Doroszeńko prowadzi układy o wcielenie Ukrainy do ziemi tureckiej i czyni to w lipcu r. 1671-go. Suchowienko, na żądanie Kozaczyzny, zrzeka się hetmaństwa. Buława przechodzi w ręce pułkownika humańskiego pułku, Michajła Chanenki, rodem z Humania, który w tej godności zostaje zatwierdzonym od Polski. Humań tedy przechodzi kolejno z rąk do rąk: od Chanenki do Doroszeńki i odwrotnie.

Roku 1672-go Humań wraz z częścią Ukrainy Podolskiej został zabrany przez Turków; w roku tym Doroszeńko mści się na Humaniu za przychylność jego mieszkańców dla Chanenki; wzywa do Czehrynia przedniejszych Kozaków humańskich i rozprawia się z nimi okrutnie. To wywołuje w Humaniu wielkie oburzenie. Doroszeńko przysyła dla uśmierzenia niespokojnych mieszczan dwa pułki. Ciężkie podatki na utrzymanie sił zbrojnych powodują w Humaniu ogólną niechęć: drugi dzień Zmartwychwstania Pańskiego r. 1673-go zapisał się wyraziście w szeregu niepowodzeń, w jakie obfitował żywot Doroszeńki, mieszkańcy bowiem Humania do nogi wycięli samowolny i wrogi dla nich garnizon. Jeden z pułkowników padł; drugiego posłali Doroszeńce do Czehrynia, jako jedynego żywego człowieka z całej za-

łogi, świadka tak krwawej rozprawy mieszczan z niesfornem żołdactwem.

W roku 1673-im ludność Humańszczyzny w pień wyciętą została przez Kara-Mustafę z Doroszeńką.

Rok 1674-ty był dla Humania rokiem strasznym. Doroszeńko sprowadza na Humań Turków. Pasek tak opisuje w swym pamiętniku ten okropny najazd niewiernych: „Turcy pobrali miasta szturmem: Ładyżyn, Humań i insze. Po wszystkich, prawda, miastach, *ale osobliwie w Humaniu* stało się tak wielkie krwi rozlanie, że tam więcej niż dwakroć sto tysięcy kozactwa zginęło, ale i Turków w szturmie naginęło bardzo wiele''.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Maszyna parlamentarna.

(Fotografie z parlamentu austryackięgo)

napisał

Adam Nowicki.

(Dokończenie.)

VII.

Dziennikarze w parlamencie.

Jak przez ten czas pracują dziennikarze?

Być dziennikarzem parlamentaryzmu — to nie łatwe zadanie. Trzeba być oczytanym w literaturze politycznej, równocześnie zaś znać stosunki osobiste posłów i utrzymywać z nimi stosunki. Trzeba być uprzejmym, pomimo to posiadać pewną dozę, — że się tak wyrazimy — stanowczości, by danego posła w chwili, gdy jest najbardziej zajętym, wypytywać bez ceremonii o najbardziej sekretne sprawy jego stronnictwa. Że jednak poseł potrzebuje dziennikarza jeszcze bardziej, niż dziennikarz posła, przeto wzajemne stosunki są prawie zawsze znośne. Cóż bowiem pomoże posłowi najpiękniejsza mowa, jeżeli dziennik — zwłaszcza dziennik rozchodzący się w jego okręgu wyborczym — nie zwróci uwagi na tę mowę, nie podniesie jej najcharakterystyczniejszych ustępów i nie pochwali pana posła za odwagę cywilną, z jaką wytknął ministrowi macosze traktowanie miasta X, albo powiatu Y. Prócz tego panu posłowi zależy na tem, aby jego wyborcy wiedzieli, jak to on pilnie chodzi po biurach ministeryalnych za wyjednaniem nowej kolei, jak się stara o założenie nowego gimnazyum, lub o wybudowanie nowego gmachu sądowego. Być może, że kolej nigdy nie zawita do owego powiatu, że jeszcze wnukowie dzisiejszych wyborców będą musieli jeździć po naukę do sąsiedniego miasta, na razie przecież uspakaja ich fakt, ogłoszony w gazecie, że ich poseł ani na chwilę nie zapomina o tych sprawach.

Ręka więc rękę myje. Poseł i dziennikarz tworzą w parlamencie właśnie jedno bractwo, które wzajemnie sobie pomaga.

[redacted]

Praca sprawozdawcy parlamentarnego nie jest łatwą. Redakcya wymaga nowin, nowin, jeszcze raz nowin; wymaga nadto, by te nowiny zatelefonowano jej na czas, jeszcze przed zamknięciem numeru. A tymczasem traf nieszczęśliwy chce, że albo telefon popsuty i to w chwili decydującej, albo zbyt silnie obsadzony przez konkurentów, albo też — o zgrozo — najpikantniejszy epizod całego posiedzenia rozegrał się już w chwili, gdy numer był zamknięty i wiadomość przyszła za późno.

Dziennikarze w Izbie poselskiej mają dwa pokoje do swojego rozporządzenia; każdy posiada biurko i szafkę do rzeczy. Z owymi pokojami sąsiaduje urząd telefoniczny i telegraficzny, specyalnie przeznaczony dla dziennikarzy, podczas gdy telegraf i poczta dla posłów znajdują się w przedsionku, prowadzącym do głównej hali. Tak więc z gmachu parlamentarnego można się telefonicznie porozumiewać z setką miast w Europie i często się zdarza, że w celi telefonicznej w parlamen[cie] (jest ich ośm) idą gotowe artykuły do Berlina i Lwowa, do Budapesztu i Zagrzebia, do Gracu i Tryestu.

Istnieje też osobny dla dziennikarzy bufet, gdzie za zwykłą miejską cenę dostaje się obiady, kawę, herbatę cygara, jak w każdej restauracyi i kawiarni. Państwo dostarcza im bezpłatnie papieru, atramentu, przyborów do pisania, woźnych do posługi, słowem, dziennikarze wylegitymowani korzystają z wszystkich przywilejów każdego posła. Tylko na salę obrad po za drzwi szklanne nie wolno im wchodzić, chyba... że któryś zostanie posłem. A zdarza się to stosunkowo często.

XIII.

Koło polskie.

Na skrajnej prawicy Izby poselskiej siedzi Koło polskie. Jest ono liczne od wyborów pod koniec roku 1900, jak jeszcze nigdy poprzednio. Należy bowiem do niego 63 członków. Bez przesady powiedzieć można, że pod względem politycznym odznacza [redacted] nie chciał sam widzieć, że [redacted]źwigał ciężar za wielki na jego siły. Skutkiem tego raczej szkodził Kołu polskiemu i polityce polskiej, aniżeli pomagał. Cenił wyżej zadosyćuczynienie ambicyi własnej, aniżeli dobro rodaków.

Dzisiaj te stosunki zmieniły się na lepsze. Kołu przewodzi jako prezes Wojciech hr. Dieduszycki, człowiek genialnych nieraz błysków myśli. Jest wprawdzie bardziej filozofem i historyozofem, aniżeli politykiem praktycznym, ale ożywia go tak gorąco chęć służenia sprawie publicznej, że dzięki jej i dzięki prawości charakteru, odpowiada godnie zadaniu poruczonemu mu przez kolegów w Kole.

Wysoki, chudy, pochylony naprzód, o bardzo wyrazistych rysach twarzy, ubrany skromnie, zamyślony, cieszy się Wojciech hr. Dzieduszycki wielką popularnością w całym parlamencie, świetny mówca polski i niemiecki. Jego mowom politycznym przysłuchiwano się już dawniej z niezmiernem zajęciem. Dzisiaj, gdy został prezesem [redacted] na posiedzenia komisyjne. Obrady komisyi bowiem tworzą ważną część składową machiny parlamentarnej. Izba posłów zaraz na początku każdej sesyi wybiera kilkadziesiąt komisyi. Każda z tych komisyi złożona od 24 do 48 członków, ma jako zadanie narady specyalne nad pewną kategoryą spraw. I tak istnieje komisya budżetowa, konstytucyjna, zapomogowa, kolejowa, rolnicza, przemysłowa, komisya oświaty, komisya wyznaniowa i t. d. i t. d. Każdy projekt, po tak zwanem pierwszem czytaniu w Izbie, idzie do komisyi, tam podlega gruntownemu rozpatrzeniu i dopiero pod postacią referatu komisyjnego wraca do Izby, by stać się przedmiotem rozpraw szczegółowych, zwanych drugiem czytaniem. Wiedza specyalna poszczególnego posła może zabłysnąć właściwie dopiero w komisyach. Tam pokazuje się, czy poseł jest tylko frazesowiczem, albo hałaburdą, czy posiada przygotowanie specyalne, dające mu możność wywierania wpływu na prawodawstwo i na kontrolę działalności rządu wykonawczego.

Sprawiedliwość wyznać nakazuje, że Koło polskie dawniejszemi laty celowało w pracach komisyjnych. Przez lat siedm komisye, skutkiem rozbicia parlamentu przez obstrukcyę, niemal nie funkcyonowały. Posłowie się rozleniwili, a to lenistwo ogarnęło także posłów polskich, choć nie w takim stopniu, jak inne stronnictwa.

Teraz od stycznia nastąpił zwrot ku lepszemu.

. . . .

Na masztach przed gmachem parlamentarnym opuszczono flagi aż do samego dołu. To oznaka, że monarcha sesyę zamknął, albo na czas dłuższy odroczył. Tam, gdzie panowało jeszcze wczoraj życie gorączkowe, dzisiaj zniknęły nawet ślady ruchu. Pustka zaległa główną halę i korytarze, bufety, czytelnie pozamykane. Służba zwija kobierce, nakłada pokrowce na brokatem obciągnięte fotele. W archiwum urzędnicy porządkują protokuły, woźny poziewa u drzwi wchodowych. Pustka podobna do tej, jaką przedstawia widownia teatralna za dnia białego. Sztuka się skończyła, publiczność i aktorzy wrócili do domu.

Czyżby i tu należało powiedzieć: „finita la comedia?"



Z teki tetryka.

Poświęcenie ma wartość, dopóki nikt o niem nie wie; traci ją z chwilą, gdy zyskuje poklask świata.

* * *

Starość jest szczególną chorobą: pielęgnujemy ją, by trwała jaknajdłużej.

* * *

Za uciążliwą drogę z nicości do wieczności otrzymujemy skąpy napiwek — życie.

* * *

Postęp ludzkości powstrzymują najuparciej przestarzałe prawdy, które żyć już nie mogą a umierać nie chcą.

* * *

Życie zadaje nam pytania w postaci wypadków, my zaś powinniśmy odpowiadać czynami.

Wspomnienie o Kazimierzu Pułaskim.

(Szkic historyczny).

Napisał Karol Cieszewski.

(Dokończenie rozdziału XXIII-go. Dalsze losy Puławskiego.)

Podczas, gdy młody nasz bohater bronił Częstochowy, robiąc jednak częste wycieczki w dalsze nawet strony, wyniosły Dumourier przegrawszy bitwy pod Częstochową i pod murami chcąc korzystać z niebytności naczelnego wodza, na rozmaite stanowiska konfederatów uderzali, znaleźli ich wszędzie w gotowości i byli ze stratą odparci. Powodzenia te broni polskiej nie były wprawdzie stanowcze, a niektóre nawet małoznaczne; ośmielały przecież żołnierzy, a utrzymując ich w porządku i czynności, umożliwiły wszelkie przygotowania, aby nowy napad z równym odeprzeć skutkiem.

„Oficerowie francuscy, których Du- wet paraliżowało rozporządzenia, umiała była korzystać z nagromadzonych sił świeżych, powodzenie byłoby bardzo świetne. Mestwo bowiem i wytrwałość konfederatów barskich opuszczonych od swych naczelników głównych, ponoszących klęski, niezrównaną trudy, niedostatek i wszelkiego rodzaju cierpienia lub męki, nie opuszczających atoli sprawy wyswobodzenia ojczyzny — było bez granic. Lecz byłoby jeszcze powszechniejsze, gdyby na-



A. Fleury. **Lektura domowa.**

Lanckorony, gdzie go tylko Puławski od zupełnej wybawił klęski, zniechęcony złożył dowództwo i nie mianował nawet następcy. Przesłał do jeneralicyi memoryał, pełen wyrzutów i ubliżającej niegrzeczności. Wszystkie klęski jakie poniósł, zwalał w piśmie tem na marszałków i wodzów, i odjechał do Francyi, przeklinając nietylko konfederacyą, lecz całą nawet Polskę....

Po jego odjeździe tytuł naczelnego wodza, do którego każden wzdychał, nadany został Walewskiemu, który sprawował ważny swój urząd energicznie i roztropnie. Gdy więc Moskale, mourier pozostawił w Polsce, korzystali także z tej chwili, aby z tem większą sprężystością dokonać prac rozpoczętych i przywieść je do tego stopnia doskonałości, jaki tu był możliwy. W przeciągu trzech do czterech miesięcy postawiono małe twierdze w Tyńcu, Bobrku i Lanckoronie na takiej stopie obrony, na jaką tylko miejscowość i okoliczności zezwalały....“

Tak więc od samego zawiązku nie była silniejszą konfederacya, jak w początkach roku 1771. Gdyby jeneralicya, nie siedząc ciągle jeszcze za granicą, co ujmowało jej powagi i często naczelnicy chcieli byli podzielać z nimi w kraju pomyślności i nieszczęść koleje......

Dziwny to nierozsądek sądzić, że ludzie starzy i przeżyci, tak zwane powagi krajowe, są w stanie nadać kierunek młodemu natchnieniu i gorącemu zapałowi. Każda chwila rodzi i potrzebuje swoich ludzi. Martwe powagi, które mają za sobą przeszłość, nie mają przed sobą przyszłości. Odegrali już swoję rolę i ustąpili na bok — a pożyteczni jeszcze w czasie pokoju jako ludzie wypróbowani i posiadający zaufanie kraju, jako firmy jakiejś idei;

w chwili żywszych poruszeń narodu pozostają w tyle i ustąpić muszą miejsca ludziom świeżym, których ruch zrodził i którzy zrodzili ruch.

A jednak błąd stawiania na czele młodego ruchu starych powag, powtarza się nieustannie. Wprawdzie po niejakim czasie pokazuje się niemożliwość tego: parci gorącym prądem zewnątrz robią one zgalwanizowane kilka kroków naprzód i upadają nieżywi, bo brak im sił żywotnych — szkody zaś, które ztąd dla sprawy wypływają, są tak wielkie, że nie staną za to stare ich zasługi. Tam gdzie trzeba wiary i zapału, sieją chłodne zasady roztropności.

Tak samo działo się i w konfederacyi barskiej. Podczas, gdy ludzie, co rozpoczęli dzieło i gorącem sercem je pojmowali, a więc najstosowniejsi byli do dalszego kierowania niem, zostali pominięci; utworzyło się ciężkie ciało złożone z powag krajowych, jeneralicyą zwane, które miało kierować powstaniem. Żądanie niepodobne! To tak samo, jak np. żądać od starego, steranego na zdrowiu i przyzwyczajonego do starej rutyny i wygódek jenerała, aby prowadził do zwycięstw hufiec walecznych i młodych partyzantów. Ani siły, ani zapał mu nie dopiszą.....

Trwożliwa jeneralicya, siedząc za granicą, bawiła się w rząd, wydawała sprzeczne z sobą często rozkazy, dawała się powodować intrygantom i niechętnym, i nieumiejąc korzystać z chwili, nie jeden popełniła błęd, który się potem niczem już naprawić nie dał.



O p. Józefie Pułaskim.

(Wspomnienie historyczne z r. 1769).

Na nutę: „Grzmią pod Stoczkiem armaty...“

Pan Pułaski starosta,
Nikt mu u nas nie sprosta!
Jak szablicę przypasze,
Nie da sobie pluć w kaszę.

*Repnin *) gniewnie coś dmucha,*
Kręci wąsa od ucha,
Ledwie zważa, jak z łaski,
Co pan prawi Pułaski.

Tak od słowa do słowa
Szła z Moskalem rozmowa,
Aż generał tymczasem
Wsadził kaszkiet z lampasem.

Pan starosta Warecki,
Mars postawił szlachecki,
I nad czubem — jak z płatka
Błysła konfederatka.

„Jak śmiał?“ — Repnin zakrzyczy,
Ciągnie szablę ze smyczy,
Pan Pułaski wzniósł czoło,
Patrzą na się i stoją.

Patrzą na się wprost w lice,
Wytężyli źrenice,
Pan starosta aż pali
Wzrokiem — wodza Moskali.

Co tam wzgardy dla dziczy,
Tego nikt dziś nie zliczy!
Patrzy Repnin, a czuje,
Że mu wzrok ten w twarz pluje.

Więc od złości aż parska,
Pyszna sztuka ta carska,
A starosta — oczyma,
Jak kleszczami go trzyma.

Wreszcie Moskal nie sprosta:
— A jaki pan starosta —
(Tu zdjął kaszkiet) — uparty!
Ja tak tylko przez żarty...

Więc gdy z głową stał gołą,
Pan Pułaski wzniósł czoło,
— Ja — bez żartów! — rzekł hardo,
I odwrócił się z wzgardą.

I szedł w czapce z rozmowy,
Nie schyliwszy nic głowy,
Pan Pułaski starosta,
Co mu nikt dziś nie sprosta!

* * *

O Kasimierzu Pułaskim.

Tam przez pole, przez Podole,
Czy to sokół leci?
Czy się wilkom świecą ślepie,
Wskroś śnieżnej zamieci?

Ej, nie sokół to, mój bracie,
I nie wilcze oczy,
To tak pędzi pan Pułaski
Co mu koń wyskoczy!

To tak pędzi pan Pułaski,
Na tym białym koniu,
Z czterech podków ognia krzesi,
Po stepowem błoniu.

Wpadł na futor, wpadł do dworu,
Jak duch pomknął skrycie,
A po dworach, po futorach,
Zakipiało życie.

Gdzie przewiała burka siwa,
Gdzie koń zarżał biały,
Biją serca, rwą się dłonie,
Do oręża chwały.

Zbudził męstwo, zbudził dusze,
Co zakrzepły w trwodze,
Porwała się w pomoc szlachta
Ojczyźnie niebodze!

Chwyta ojciec za szablicę,
Syn na konia skacze,
Chorągiewkę siostra szyje,
Matka z cicha płacze...

Ztąd, to zowąd hufiec leci,
Samoczwór, samotrzeć,
Zanim słonko dzień rozświeci,
Chcą do Baru dotrzeć.

Milczkiem, chyłkiem, wiara spieszy
Po drodze się mija,
I pozdrawia starem hasłem,
— „Jezus i Marya!“ —

Jan Sawa.



Złudzenia.

Opowieść
z czasów księcia Józefa Poniatowskiego

27) (Ciąg dalszy.)

XIII.

W dziejach naszej przeszłości niepospolitą niezawodnie jest karta kampanii austryackiej z roku 1809.

Tylżycki pokój nie potrwał długo, bo śród świata ówczesnego stał z jednej strony człowiek, dla którego wojna była żywiołem ustawicznym, z drugiej czyhająca ciągle na niego reakcya, która ani na chwilę nie traciła nadziei, że nadarzy się sposobność rozgromić tego burzyciela dotychczasowego politycznego i społecznego porządku, strącić uzurpatora ze szczytu potęgi jego, zdruzgotać szafarza tronów, upokorzyć pysznego dorobkiewicza.

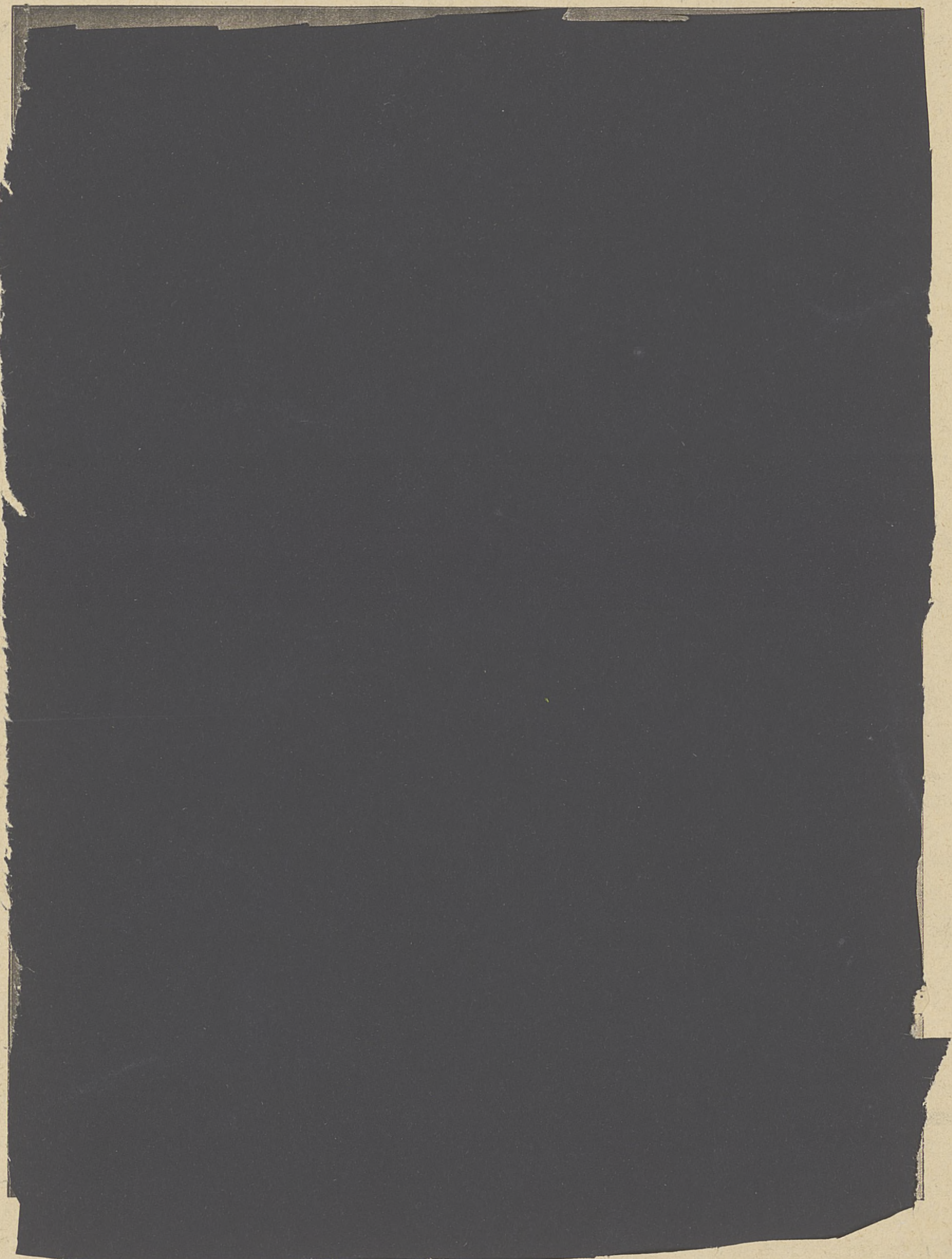
Gdzie takie dwie siły stoją naprzeciwko siebie, tam, jeśli działa ucichną na chwilę, to po to tylko, aby niebawem zagrzmieć jeszcze głośniej, a jeśli żołnierz odpasze miecz, to po to, aby go naostrzyć i zagładzić szczerby, nanizane w długiej pracy na ostrze, jakby perły na sznurek.

Gotowano się więc do olbrzymiej kampanii z Austryą i Prusami, kiedy cesarz na Zachodzie, zbierając siły na upokorzenie współzawodników, zapomniał o nowo utworzonem państewku na Wschodzie i zostawił je własnemu losowi.

Że zaś ówczesny monarcha tego państwa, elektor saski, temu małemu skrawkowi ziemi nie mógł z żadną, albo z bardzo małą tylko przyjść pomocą, armia austryacka, pod rozkazami arcyksięcia Ferdynanda, przeznaczona na zajęcie Księstwa Warszawskiego, zadanie to uważała sobie za prostą zabawkę i sądziła, że bez wystrzału nawet „oswobodzi kraj z pod przemocy francuskiej,“ jak się wyrażała, aby następnie zrobić z nim to, co się jej podoba.

Że podobne nadzieje podawano za pewnik w głównej kwaterze arcyksięcia, że w tym duchu redagowano manifest i bez oporu w śpiesznych marszach posuwano się pod Warszawę, czyż można się dziwić? Austryacka armia okupacyjna liczyła 40,000 doborowego

*) Generał rosyjski.



żołnierza, posiadała odpowiednią artylkryę, i zaopatrzona była sowicie, a w Księstwie Warszawskiem, chociaż etat wojskowy liczył 30 tysięcy żołnierzy i lubo było go nawet więcej, żołnierz ten jednak rozproszony był po Hiszpanii, po Francyi, po niemieckich fortecach i książę Józef na obronę kraju mógł wyprowadzić jedynie 13 tysięcy wojska, złożonego przeważnie z rekrutów i ludzi, którzy dotychczas nie wąchali prochu.

Po stronie jednak tej małej garstki była potęga, której najeżdżający wróg nie brał w rachubę, a która często stanowi więcej, niż przewaga fizyczna.

Księstwo Warszawskie, stworzone silną wolą Napoleona, uważało się za integralną cząstkę jego potęgi, a wszyscy jego mieszkańcy wierzyli w niezłomność potęgi tej, jak w ewangelię.

Obok żołnierza, podobnym duchem ożywionego, stali mieszkańcy kraju do największych gotowi ofiar i zagrzani niezłomnym patryotyzmem, a nad tak usposobionym narodem trzymał zwierzchnictwo wódz, posiadający powszechne zaufanie, człowiek, którego szanowali obcy, a wielbili swoi i przeczuwali w nim jednego z największych bohaterów narodowych.

Cóż więc dziwnego, że przy usposobieniu podobnem, począwszy od krwawych pól Raszyna, wszystkie, najważniejsze następne karty kampanii, takie imiona, jak Grochów, Góra, Zamość, Sandomierz, a wreszcie Kraków są pomnikami tryumfów oręża polskiego, są coraz szerzej otwierającym się grobem dla wroga, w którym nietylko topniała i zapadała armia na zajęcie Księstwa przysłana, ale ginęły dostarczane jej posiłki, zatrzeszczała całość państwa austryackiego, i ci, o których sądzono, że obrońcami stać się nie mogą, wyszli owszem na zdobywców.

Że główna zasługa należała się znakomitemu wodzowi i walecznemu nad podziw żołnierzowi, nie ulega najmniejszej wątpliwości, jednak, że i ów podniecony duch narodowy odegrał tu bardzo ważną rolę, równie jest pewnem.

Jaki zaś był ten duch, dowodzi pomiędzy innemi ta okoliczność, że kiedy książę Józef pod Raszynem oparł się, staczając bój, w którym straszna nierówność sił zdaje się być wyjątkiem z bajki; kiedy następnie na podstawie tego bohaterstwa ułożył na zaszczytnych warunkach niezmiernie korzystną kapitulacyę Warszawy: w kraju, bez względu na miłość dla wodza, krzy-

knięto straszny wyraz: „zdrada,'' bo chciano, aby zginąć lub zwyciężyć.

A kiedy później ten wódz z ocalonemi w ten sposób siłami, szedł od zwycięstwa do zwycięstwa, kiedy wkroczył w granice austryackie i jeden gród po drugim oswabadzał i rząd Księstwa w nich ustanawiał, dopiero wtedy zabrzmiał ogólny hymn wdzięczności i tryumfu i nie było [redacted]
mu czci i uwielbie[redacted]
końca w ogólnem[redacted]
rami.

Napoleon, jak [redacted]
niewdzięcznym z[redacted]
terstwa jego pols[redacted]
znał to sam, lecz [redacted]
piero, gdy już b[redacted]
św. Heleny.

Bez względu n[redacted]
cili zaufania do [redacted]
a już zupełne mie[redacted]
tryumf swych bra[redacted]
saniu traktatów [redacted]
dzinnych, i 18-go [redacted]
li wejść jako ar[redacted]
Warszawy.

Dnia tego, po[redacted]
słonko uśmiechało[redacted]
syreniego grodu, [redacted]
niż przed południ[redacted]
wejścia zwycięskich[redacted]
od rana już wr[redacted]
w ulu.

Każdy na ulic[redacted]
tecznym stroju, a[redacted]
się ku Mokotowski[redacted]
czekiwano ukochan[redacted]

Na placu Trzec[redacted]
wano bramę try[redacted]
wysoka na sześćdzi[redacted]
głównej swej arkad[redacted]
kolumnach stylu j[redacted]
cie jej był umiesz[redacted]
sany laurową ziel[redacted]
niał napis: „Wo[redacted]
cięskiemu wdzię[redacted]

Że zaś teraźnie[redacted]
związać się staran[redacted]
miasta położono n[redacted]

„Tędy powracał [redacted]
Jan [redacted]

Na fryzach umieszczono wiele mówiące nazwy, jak: Raszyn, Grochów, Góra, Sandomierz, Zamość i Kraków. Żeby zaś wodza dzisiejszego z dawnymi hetmanami zbratać, między gzymsami w medalionach umieszczono popiersia: Jana Tarnowskiego, Karola Chodkiewicza, Jana Zamoyskiego i Stefana Czarnieckiego.

Przy bramie stanęli w szeregach uszykowani uczniowie szkoły artyleryi, dalej ku miastu ciągnęła się w dwóch szpalerach gwardya narodowa, a pułk galicyjsko-francuski imienia księcia Konstantego Czartoryskiego wydłużał szeregi swe aż do kościoła św. Krzyża.

Nie czekano na wkroczenie zwycięzców do miasta i podprefekt departamentu Warszawy z mową powitalną wybiekł aż do Mokotowa, a w środku alei Ujazdowskiej starsi bóżniczni, wraz z dwoma rabinami na czele, pod bogatym baldachimem i z rodakami powitali [redacted] żołnierzy.

[redacted]tania i mowy odpowiadał z coraz większą wielomównością, on tymczasem wzrok niespokojny rzucał dokoła, jakby szukając kogoś, kogo spodziewał się na pewno tu znaleźć. Spojrzenie jego biegło głównie ku karetom, które stały na placu Trzech Krzyżów, ale w zwierciadlanych ich szybach nie dostrzegł twarzy, której widoku pożądała jego dusza. Raz tylko uwagę jego zatrzymała kareta zaprzężona w parę olbrzymich konopiastych kasztanów, a wyglądająca z po za szyby jej postać niewieścia, w białą suknię przybrana, zdawała mu się być twarzą znajomą.

Przypatrzył się dokładniej i nie omylił się. Tak, była to Ewunia. Twarz jej dziwnie była rozpromieniona, na licach kwitły rumieńce, oko błyszczało zapałem radości i tryumfu. Drobną swą rączką sięgała co chwila do wnętrza karety, wydobywała stamtąd wiązanki kwiatów i wieńce i rzu-
[redacted]umfatorów.
[redacted]względu na przy-
[redacted]kie z dzieweczką
[redacted]woleniem zatrzy-
[redacted] i rozpromienio-
[redacted]pomniał sobie,
[redacted]yumfu narodo-
[redacted]ewczyna ta nie
[redacted]zny też jej był
[redacted]estchnął żałoś-
[redacted]wszystkie Polki
[redacted]m, i czemuż nie
[redacted]zkami krwi złą-
[redacted]jsk, których za-
[redacted]nia, znajdować
[redacted]szych szeregach
[redacted]nak napróżno.
[redacted]wej nigdzie nie
[redacted] wojsk polskich
[redacted] tym dniu jed-
[redacted] wkroczeniu ich
[redacted]go.
[redacted]ny rad był jak
[redacted] przeciągnąć, a
[redacted] liczył, że wresz-
[redacted]nego wodza.
[redacted]nczasem obiady
[redacted]zy. W teatrum
[redacted] oswobodzony,''
[redacted]ek Wężyk, zasto-
[redacted]czności, a żołnie-
[redacted]no na każdym
[redacted]e, pomimo, że
[redacted]dość tę, pomimo,
[redacted]wi i przyszłego
[redacted]idzieć nie prze-
[redacted]ości ogólnej od-
[redacted]iero, kiedy zape-
[redacted]usposobieniu tej,
[redacted] była całym światem.

To też, skoro skończyła się parada wjazdu tryumfalnego i kiedy dowódcy pozwolili rozkulbaczyć zmęczone konie, zaledwie trochę ogarnąwszy się, pospieszył na Zamek i tu domagał się przyjęcia w pałacyku pod Blachą.

Niepozorne owo domostwo tak gwarne niegdyś, a tak przez wszystkich mieszkańców Warszawy uczęszczane, świeciło teraz jakby pustką. Ganek był opróżniony całkowicie, a w bruku rozpościerały się szczątki trawy zwarzo-

nej mrozami. W antykamerze także było cicho i pusto.

Cicho dlatego, że wierny kamerdyner rodziny książęcej, Brodowski, chociaż się tu ciągle znajdował, wiekiem zgnębiony, najczęściej drzemał w poręczowem swem krześle, a sen jego bywał tak mocny, że wchodzących nie słyszał.

Szumlański też, mimo, że ostrogi jego brzęczały o kamienną posadzkę, nie obudził staruszka z drzemki i musiał aż podejść do niego i trąciwszy w ramię do przytomności go przywołać.

Brodowski na dotknięcie owo zerwał się na równe nogi i snać pamięć służyła mu dobrze, gdyż przetarłszy oczy, zawołał z nieutajoną radością.

— O! pan major, jak mi Bóg miły! (Szumlański dla niego całe życie pozostać zawsze musiał majorem). To pewno i książę pan już niedaleko — dodał.

— Książę pan za dwa dni tu będzie, odpowiedział krótko przybyły — ale czy nie mógłbyś mnie tymczasem, Brodosiu, zameldować do jaśnie wielmożnej hrabiny Tyszkiewiczowej?

Stary na mówiącego spojrzał ze zdziwieniem okrągłemi oczyma, a później uśmiechnąwszy się figlarnie, dodał, ruszając krzaczastemi brwiami:

— Ale co też to panu majorowi się marzy?

— Jakto marzy?

— A no, tak, pani hrabina przed pół rokiem już opuściła Warszawę.

— Ale chyba ci się śni, stary! Bo i gdzieżby się udała?

— Jakto gdzie? A przecież do Francyi, za tym swoim starym kulasem, którego tu, Panie odpuść, wszyscyśmy nie cierpieli.

Szumlański ścierpł na te słowa, ale jeszcze nie chciał dowierzać strasznej dla niego wiadomości.

— Ale cóż z tobą się dzieje? — zawołał gwałtownie. — A cóżby hrabina we Francyi robiła i cóż dla niej za powab może mieć ten kulas, o którym powiadasz?

— Aj, aj, aj! — rzekł stary powolnie, zażywając tabaki — jak to z tymi wojskowymi, co dzisiaj tam, jutro tu, ciężko przyjść do ładu. Toż pan major nie słyszał, że siostra naszego księcia ma wychodzić za mąż za tego obwieszonego orderami kulawego Francuza, co to nazywa się kancelista, czy kancelarnik?

Szumlański chciał odpowiedzieć i dowodzić, że przecież hrabina jest mężatką, ale nie miał na to dość zimnej krwi, i czując, że go jakieś nieszczęście ma spotkać, postanowił dotrzeć aż do głębi i dlatego zapytał:

— No, ale przecież pani de Vauban także do Francyi i do owego kulasa nie wyjechała?

Brodowskiemu zapytanie owo wydało się wielce zabawnem, gdyż zaśmiał się szczerze i otwierając szeroko swe usta, odparł figlarnie:

— A jak to zaraz widać, że pan major przebywał między niewiernymi Turkami. Przecie ów Francuz, chociaż kulas, jest chrześcijaninem i dość mu będzie jednej żony, boć na więcej Kościół nasz nie dozwala.

Szumlański się zmarszczył.

— A czy można — zapytał — widzieć panią de Vauban?

— Francuzica rzadko teraz przyjmuje — odparł zapytany — ale jušci wiem, że panu majorowi nigdy wstępu nie odmówi. Wszelako proszę wejść na chwilę do owej, ot, sali na prawo, a ja dla pewności zapytam.

Szumlańskiemu w skroniach coś łupało, jasne mu świeczki biegały przed oczyma, a ból srogi ściskał serce. Mimo to zaciął zęby, wszedł do sali wskazanej i z niecierpliwością czekał na powrót kamerdynera, a raczej obecnie marszałka dworu.

Brodowski niebawem powrócił i w korytarzu już czekał Szumlańskiego wygalowany pajuk, który go prowadził na pierwsze piętro do apartamentów Francuzki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nowa kolęda.

Szli do Betleem Lech, Czech i Rus,
Świecił im z nieba gwiaździsty wóz.

Szedł kniaź halicki, budownik miast,
Czeski Bożywoj i polski Piast.

I nieśli dary z krainy swej,
Jak owi sławni magowie trzej.

Rus, kniaź bogaty, cały swój skarb,
Włożył na krzywy wielbląda garb.

Górskie kryształy przezorny Czech,
Razem z gęślami zawiązał w miech.

A Piast, co kędyś nad Gopłem siadł,
Zabrał miód wonny i lipy kwiat,

I do Betleem szli tak we trzech,
W przykładnej zgodzie Rus, Lech i Czech.

A gdy ujrzeli dzieciątka żłób,
Kornie do Pańskich przypadli stóp;

I bili czołem o stajni próg,
Kędy na sianku spoczywał Bóg.

A mały Jezus przyjmował rad:
Ruskich bisiorów kosztowny płat.

I czeskiej gęśli czarowny śpiew,
I polskiej lipy pachnący krzew...

A patrząc na nich, jakby przez łzę,
Zdawał się, mówić: „Miłujcie się!“

Od żłobku Pana, znowu we trzech,
Wracali do dom Rus, Lech i Czech.

I wciąż w wieczornej słyszeli mgle,
Ów głos proroczy: „Miłujcie się!“

Lecz gdy już przyszli do swoich ziem
Nagłym ich zawiść owiała tchem

Czart wśród nich rzucił niezgody kość,
By nie dać ziarnu miłości wzrość.

I tak już sporo upływa lat,
Jak brata nie chce zapoznać brat...

Jak nie chcą wspomnieć tych jasnych dni,
Kiedy to razem dłoń w dłoni szli.

Jak to z nich każdy w potęgę rósł,
Gdy żyli w zgodzie Lech, Czech i Rus.

Lecz może nowy błyśnie im świt,
Aby się sprawdził odwieczny myt.

Może ta „gwiazdka,“ co w niebios bram,
Błyska nadzieją i im i nam;

Przypomni braciom prastary ślub,
I u Chrystusa złączy ich stóp!

Władysław Bełza.



Rudyard Kipling.

Na cmentarzu żywych.

„Panowie i panie!... We wszystkiem, co tu przed oczyma waszemi roztoczę, niema ani źdźbła blagi“ — tak zwykli zaczynać swe popisy mniej lub więcej słynni magicy. Nie zazdroszczę sławy magikom, a jednak do opowiadania, które tu przytoczę, muszę użyć wstępu, jakim oni zwykli się posługiwać.

Autorem opowiadania tego jest dobry mój znajomy, inżynier Jukes, człowiek obdarzony trzeźwą i wykształconą głową. Niepodobna posądzać go o tworzenie jakichś urojonych, fantastycznych bajek; żal-by mu było na to czasu i trudu, który potrafiłby napewno korzystniej zużytkować. Zresztą, kto bodaj ze słyszenia zna Indye, ów kraj dziwów i nieprawdopodobieństw, ten, wysłuchawszy całej tej historyi do końca, przyzna, iż ma ona wszelkie cechy prawdziwości.

Zaczynam.

* * *

Zajęcia zmusiły mnie do zamieszkania przez kilka miesięcy w namiocie, wśród niezmierzonych równin piaszczystych, pomiędzy Pakpattan a Mubarakżurem.

Pusta i dziwnie smutna to kraina; zajęcia jednak wymagały takiego na-

tężenia i skupienia władz umysłowych, że na czarne myśli i poddawanie się złowieszczym podszeptom i przeczuciom zupełnie nie było czasu. Nigdy zresztą nie byłem skłonny do osłabień umysłowych, a w najcięższych chwilach umiałem zachować równowagę.

Zupełnie innego rodzaju niemoc, najzupełniej fizyczna, opanowała mój organizm 23-go grudnia 1894 roku. Wieczorem dnia tego poczułem dreszcze i coś w rodzaju lekkiej febry i gorączki. Była to właśnie pełnia. Wszystkie psy okoliczne wyły przeraźliwie rozmaitemi głosami. Niegodziwe zwierzęta zbierały się w stada, po kilka sztuk, dokoła mojego namiotu i zawodziły takie okropne symfonie, że można było oszaleć z rozdrażnienia. Wycie ich targało nerwy, sprawiając dotkliwy ból fizyczny, przyprawiający niemal o utratę przytomności.

Parę dni temu zabiłem najgłośniejszego z tenorów tego stada i kadłub jego kazałem powiesić w odległości 50 metrów od wejścia do namiotu, dla odstraszenia innych podobnych mu śpiewaków. Ale reszta urządziła zbiorowy napad. Zgłodniałe psy stoczyły bitwę i — ostatecznie — pożarły trupa swojego kolegi.

Wydawało mi się obecnie, że po odbytej biesiadzie zawodzą jakiś ohydny hymn dziękczynno-pogrzebowy ze zdwojonym zapałem i energią.

Lekka gorączka, jaka zwykle towarzyszy febrze, rozmaicie oddziaływa na różnych ludzi, stosownie do ich usposobienia i natury.

Co się tyczy mojej osoby, to rozdrażnienie, jakie mnie początkowo ogarniało, ustąpiło wkrótce miejsca stałej i nieprzezwyciężonej chęci zgładzenia ze świata olbrzymiego, łaciastego doga, który przewodniczył chórom zarówno dzielnie i wytrwale jak jego poprzednik.

Dwa razy już strzelałem do niego, ale — chybiłem dwukrotnie z przyczyny drżenia ręki i lekkiego zawrotu głowy.



„Na cmentarzu żywych."
Wyprężony w strzemionach, potrząsając dzidą, pędziłem wprost ku księżycowi...

Nagle opanowała mnie myśl, że najlepiej będzie dopędzić go konno na piaszczystej równinie i zabić dzidą, używaną do polowania na dziki.

Rozkazałem więc służącemu osiodłać mojego poneya, Pornika, i przyprowadzić go pocichutku do bocznych drzwi namiotu. Gdy służący rozkaz spełnił, stanąłem obok konia, gotów nań skoczyć i spiąć go ostrogami, jak tylko pies rozpocznie wyć na nowo.

Nawiasem mówiąc, Pornik wypoczywał już od dwóch dni. Powietrze nocne było ostre i przenikliwe.

Na nogach miałem buty z ostrogami niezwykle ostremi, które służyły mi tegoż samego dnia rano do dodawania bodźca szkapie leniwej i ociężałej.

Pornik biegł szybko. W mgnieniu oka zwierzę puściło się wprost przed siebie jak strzała — namiot znikł za nami. Spojeni w jedno ciało, lecieliśmy przez piaski pędem wyścigowym.

Za chwilę minęliśmy obmierzłego psa. W szalonym pędzie nie zdawałem już sobie sprawy, w jakim celu dosiadłem konia i po co zaopatrzyłem się w dzidę. Gorączka i podniecenie, spowodowane szaloną jazdą, pozbawiło mnie reszty przytomności. Przypominam sobie tylko, że wyprężony w strzemionach, potrząsając dzidą, pędziłem wprost ku księżycowi, co ogarniał spokojnem, przezroczystem wejrzeniem moją postać oszalałą... Słyszę głos swój rzucający wyzwania kolczastym krzakom, spotykanym po drodze, które zdawały się urągać mojemu biegowi.

Raz, czy dwa straciłem równowagę, zsuwając się na szyję Pornika i wpijając się w niego ostrogami...

Nieszczęsne zwierzę pędziło jak szalone przez piaski, oblane blaskiem księżyca... przez te piaski niezmierzone, które wydawały mi się wtedy przestrzenią bez granic...

Dalej — przypominam sobie, że z trudem, poganiając Pornika, wpadłem na olbrzymią górę piaszczystą. Ze szczytu jej ujrzałem rzekę Sutlej, lśniącą niby długa, srebrna wstęga.

Nagle Pornik potknął się, stracił równowagę i... stoczyliśmy się razem z wysokiej stromej pochyłości.

Prawdopodobnie musiałem stracić przytomność. Gdym ją odzyskał, leżałem w miękkim, białym piasku, u stóp wysokiej, stromej ściany piaszczystej, której szczyty blady świt niepewnym blaskiem zwolna rozjaśniać zaczynał.

Bez długich rozmyślań, zrozumiałem sytuacyę: pędząc rozgorączkowany na oślep, wpadłem do przepaści. Było nią dno głębokiego, obszernego zagłębienia, niby krateru wulkanicznego, mającego kształt podkowy, rozwartej w stronę Sutleju.

Gorączka opuściła mnie zupełnie. Prócz lekkiego wstrząśnienia, nie odczuwalem żadnych złych następstw mojej nocnej przygody.

Biedny Pornik stał o kilka metrów dalej, wycieńczony wprawdzie i zmordowany, ale zdrów i cały. Siodło, zgniecione zupełnie, zsunęło się pod brzuch konia.

Za chwilę wszystko doprowadziłem do porządku, a jednocześnie zacząłem badać miejscowość, w której mimowoli się znalazłem.

Jak już poprzednio wspomniałem, był to głęboki krater w kształcie podkowy ze stromemi ścianami z piasku, piętrzącemi się do 35 stóp wysokości. Dno tego krateru stanowiła podłużna płaszczyzna, mająca około 50 metrów

długości. W pośrodku płaszczyzny znajdowała się niewielka studnia.

Dokoła krateru, w ścianach na wysokości trzech stóp widniały szeregiem otwory, których liczba dochodziła przypuszczalnie do osiemdziesięciu kilku; były one półkuliste, owalne, kwadratowe i wielokątne. Każdy z tych otworów był starannie wyłożony drzewem lub trzciną bambusową i miał ponad wejściem daszek drewniany, opierający się na dwóch również drewnianych podpórkach.

rza, co prawda, dochodziły aż do wody, dalej jednak było sporo mielizn i ław piaskowych, przez które przebiegając galopem i skręcając następnie na lewo lub na prawo można było wydostać się z pułapki.

Skierowałem szybko Pornika przez piaski w stronę Sutleju, gdy w tem — nagle — zadrżałem... Rozległ się słaby odgłos wystrzału z drugiego brzegu rzeki... W tejże chwili kula ze świstem przeleciała tuż obok głowy mojego konia...



„Na cmentarzu żywych."
Dokoła krateru na wysokości trzech stóp widniały szeregiem otwory.

Nie widać było najmniejszej oznaki życia w tych dziurach; powietrze jednak w pobliżu nich tak było duszne i obrzydliwe, że aż mdło się robiło. Takiego powietrza nawet w brudnych wioskach indyjskich nigdy spotkać mi się nie zdarzyło.

Dosiadłszy Pornika, któremu zarówno jak i mnie pilno było oddalić się stąd jak najprędzej, objechałem krater dokoła, chcąc wynaleźć miejsce, przez które możnaby się było wydobyć.

Spiąwszy konia ostrogami, skierowałem go na stromą pochyłość piaskowej ściany. Niestety, wszelkie usiłowania wydobycia się w ten forsowny sposób były daremne: wpadłem w pułapkę, zupełnie podobną do tych, w jakie mrówkojad chwyta swą zdobycz.

Za każdem stąpnięciem piasek usuwał się z pod nóg i, sypiąc się niżej, uderzał jak drobny śrót, o drewniane daszki otworów. Po kilku bezskutecznych próbach stoczyliśmy się obaj z Pornikiem na dno krateru. Zwróciłem się tedy ku rzece. W tej stronie, jedynie mogłem szukać wyjścia. Napozór wydobycie się tą drogą nie przedstawiało trudności; piaszczyste wzgó-

Trudno byłoby mylić się co do adresu tego pocisku; widocznie takie było rozporządzenie, żeby strzelać do każdego, ktokolwiek chciałby tędy uciekać... I rzeczywiście w odległości kilkuset metrów na falach rzeki kołysał się statek indyjski, zarzuciwszy tam kotwicę... Mętny obłoczek dymu, jaki się z niego unosił, odznaczając się wyraźnie na tle przezroczystej atmosfery poranku, wskazywał aż nazbyt dokładnie, komu mam zawdzięczać ten miły dowód uwagi i pamięci...

Żaden chyba poważny gentleman angielski nie znajdował się w podobnie głupiem położeniu. Zdradziecka ściana piaskowa nie dozwalała wydobyć się z tego haniebnego więzienia, w jakiem się znalazłem zupełnie niespodzianie i niezależnie od własnej woli, a każde zbliżenie ku rzece było najwidoczniej dla straży czuwającej na statku sygnałem bombardowania.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



STYCZEŃ.

Praojcowie nasi na Nowy Rok witali się słowami: „Bóg się stykaj" co znaczyło polecenie opiece Bożej. Stąd wywodzą nazwę miesiąca Styczeń, który, zanim wogóle przyjęła się i utrwaliła terminologia miesięcy, powszechnie mianowano z łacińska Januariusem.

U Rzymian Januarius był poświęcony Janusowi, temu dwulicowemu i tajemniczemu bożkowi, którego świątynia otwierała się tylko w czasie wojny. A ponieważ Rzymianie rzadko kiedy z kimś nie wojowali, więc od Numy Pompiliusza w ciągu 700 lat tylko trzy razy wypadło, że świątynia znajdowała się podczas miesiąca Janusowi poświęconego, szczelnie zamkniętą.

Każdy pierwszy dzień miesiąca, a tembardziej roku Rzymianie uroczyście obchodzili pod nazwą „festum calendarium," a stąd wyprowadzono polską nazwę „kolędy."

Kolęda ma znaczenie pieśni uroczystej, odnoszącej się do Bożego Narodzenia, ale zarazem i podarku. Te dwa pojęcia zespoliły się w jednym wyrazie „kolędować;" w języku ludowym oznacza więc nietylko śpiewać ku czci Dzieciątka Jezus, lecz obchodzić domostwa w celu uzyskania „kolędy" czyli podarku.

Takiemu „kolędowemu" towarzyszą oczywiście życzenia wszelakich pomyślności, ku zniewoleniu tych, którym się winszuje, do większej hojności.

Przechowała się dotąd w wielu okolicach kraju najpospolitsza i najbardziej znana formuła kolędowego powinszowania gospodarzom wioskowym, wogóle rolnikom według następującego brzmienia:

Żeby wam się rodziło żytko — jak korytko
Pszenica — jak rękawica,
Bób — jak żłób,
Len — jak pień.

Dawniej, gdy była w Polsce obfitość dzikich zwierząt, kolędnicy owi oprowadzali młodego wilka, niedźwiedzia lub lwa. W braku żywych zwierząt przebierano się w ich skóry, a stąd powstało przysłowie: „biega by z wilczą skórą w Nowy Rok po kolędzie."

Na Mazowszu i na Kujawach w dniu 1-go stycznia, jako noworocznym, w wielu rodzinach wieśniaczych musi być na obiad podawaną prażucha inaczej t. zw. „lemieszka" z mąki pszennej, żytniej lub greczanej. Młodzież, spożywając lemieszkę, uderza się wzajemnie łyżkami po policzkach, a następnie obmazuje ciastem okna. Jest

to symboliczne życzenie, aby wszystkie domy napełniane były przez cały rok obfitym chlebem.“

W tym celu również Nowy Rok powinien zastać na stole każdego gospodarza spory bochen chleba z solą i każdy wchodzący do chaty, obowiązany jest chociaż kęs chleba „gościnnego“ przełknąć. — W przysłowiach ludowych i wierszykach Nowy Rok oraz miesiąc styczeń często bywają wspominane jak np.

Kiedy przyjdzie Nowy Rok —
Już ku wiośnie blizki krok.

A myśliwi powiadają:

„Śnieg bez wiatru w Rok Nowy
Pewny omen ponowy.
Bądźże tedy gotowy
Ruszyć duchem na łowy.“

Chociaż w styczniu sroży się jeszcze zima w najlepsze, należy pamiętać o szykowaniu rynsztunku gospodarskiego, więc dawne przysłowie ostrzega rolnika:

Lubo w styczniu śnieg i mrozy,
Ty już gotuj pługi, wozy.

Zdarzały się bowiem zimy tak lekkie i wczas się kończące, że w styczniu można było orać. Przecież według innego przysłowia: Święta Agnieszka (21-go stycznia) wypuszcza skowronka z mieszka.“ Jednakże na ogół biorąc, gospodarze nie dowierzają ciepłu w styczniu, mówiąc, że:

Cała ta styczniowa orka
Warta dziurawego worka.

Wszakże bywały lata, gdy w styczniu kończyły się żniwa i wegetacya roślinna niby na południu zaczęła się ukazywać. O takiej niezwykłej „wiośnie w styczniu“ wspomina Jan Chryzostom Pasek pod 1680 r.:

„Zaraz na początku tego roku — pisze pamiętnikarz — doczekaliśmy się nowych rzeczy, bo zima, która już była gruntownie stanęła, zginęła raptem i stało się tak ciepło, tak pogodno, że bydło poszło w pole, puściły się kwiatki i trawę ziemia wydawała, orano i siano: Jam jednak długo namyślał się z siewem, ale widząc, że ludzie już wpół jarzyny pozasiewali, ja też natenczas począłem siać. Gdym jeździł w zapusty z ludźmi po kolędach, po weselach, to takie były gorąca, że trudno było zażyć sukni futrzanej, tylko letniej, jako w sierpniu. Już tedy po Nowym Roku zimy nie było, jeno deszczyki przechodziły.“

Wzmiankę swą o osobliwej „wiośnie styczniowej“ kończy Pasek uwagą:

„Owe tedy zboża w styczniu siane, wyrosły tak przed Wielkanocą, że aż na nich bydło pasano, a tak tej zimy 1680 r. bydło mało co słomy zażyło, mając dobre bardzo pożywienie w polu.“



Nasza ofiarność.

Złożyli:

Na Macierz Szkolną w Królestwie

pp. A. Łucka ze Stanisławowa w Galicyi 1 m. Władysław Szubert z Wielkiejwsi pod Bukiem 10 mrk. zamiast wszelkich innych noworocznych składek.

Dotychczas złożono razem 266 mrk 40 fen.

Na Tow. Pomocy Naukowej Karola Marcinkowskiego

a) dla chłopców
b) dla dziewcząt.

W miejsce wieńca na trumnę ś.p. Andrzeja Bobowskiego złożył p. Karol Rzepecki z Poznania 10 mk.

Na Czytelnie Ludowe

Na „Straż“

Na stacyą kolonii wakac. „Stella“

Na „Gniazdo“-budowę sali „Sokoła“ w Poznaniu

Na elementarze dla biednych dzieci

Na Weteranów

z roku 1848-go
„ 1863-go

Razem wpłynęło dotychczas 72 mrk 77 fen. Z tej sumy wypłaciliśmy komu należy 48 m. 20 fen; pozostaje mrk 17,95 fen

Na rodziny skazańców w Gliwicach

Wpłynęło dotychdzas razem 6 mk.

Na rodzinę Jana Wyciska

Dotychczas wpłynęło 77 mrk 65 fen. Z tej sumy wysłaliśmy dnia 22-go z. m. dla pani Wyciskowej 74 mrk 65 fen; pozostaje mrk. 3.

Na budowę kościoła w Żninie

Na odnowienie Wawelu w Krakowie

Na głodnych w Królestwie

p. X. z Bottropu 10 mk.





Wiadomości.

— **Smutnie** przedstawiły się ofiarność i zrozumienie obowiązków społecznych wśród obywatelstwa poznańskiego. Na rocznem walnem zebraniu „Towarzystwa Wyborczego“, które zbiera corocznie fundusze na wybory miejskie, sejmowe, parlamentarne, do kas chorych, sądów procederowych itd., zdawał zarząd i urzędnicy sprawozdanie ze swych czynności. Towarzystwo ma też woźnych, którzy zbierają składki, więc zebrani chcieli usłyszeć z ich ust, jaka ochota i jakie zrozumienie panuje wśród poznańskiego obywatelstwa. Przytem wyszły na jaw zastraszające objawy — czego, to czytelnik sobie sam dopowie.

I tak używając słów „psia krew“, wskazał p. *Paetz*, obywatel z Jeżyc, woźnemu zbierającemu składki od członków, drzwi! Pan *Knaflewski* na W. Garbarach, p. *Winiecki* z ulicy Wodnej, nie zapłacili składki i nawymyślali woźnemu. Pan *Jezierski* na Wildzie, do którego woźny 9 (!) razy chodził, powiedział woźnemu, że Polacy są głupi i oszuści, i że on żyje z Niemców, członkiem być nie chce i nic nie daje. Pan *Jeziorowski* także nic nie daje. Pan *Tybiszewski* z Wildy powiada, że zbieranie składek od członków to wyzysk; ciekawym czy p. T. chce, aby aniołowie z nieba agitowali lub kartki wyborcze gratis jak mannę z nieba rzucali. Pan *Wojciechowski* z ul. Wodnej także się uchylił od składki rocznej, p. *Stuchniński* z Wodnej tak samo — widać, że ta Wodna ulica jakoś nie przynosi szczęścia nikomu. Pan *Andrzejewski* m. kom. ze Strzeleckiej ulicy także nie chce być członkiem Tow. Wyb., również p. *Stanisław Wegner*, administrator „Wielkopolanina“. Mimo „abstynencyi“ tych panów, którzy niestety nie mogą służyć za wzór patryotyzmu i ofiarności, zebrali woźni od 2500 członków 1800 mk., przyczem zauważyli większe zrozumienie zadań Towarzystwa Wyborczego nieraz u rzemieślnika i robotnika, jak u kupca, adwokata, lekarza i inteligentnika wogóle, który przeciętnie na żadne zebrania i wiece nie chodzi, „bo już za mądry jest i nie ma czasu.“ Połowa, rzec śmiało można, obywateli poznańskich wcale nie wie co to jest i do czego służy Tow. Wyborcze. Ponieważ walne zebranie wyraźnie życzyło sobie, aby fakta powyższe publikować w gazetach, więc proszę Szanowną Redakcyę, aby pismo moje zechciała umieścić. *Z.*

(Czynimy zadość życzeniom obywateli, opuszczając ostrą krytykę a podając jedynie objektywne fakta, które publicznie omawiano na odnośnem zebraniu. Przyp. Red.)

— **50-letni jubileusz kapłaństwa** obchodzić będą w roku bieżącym: ks. pleban Hipolit Zientkiewicz w Prochach, ks. pleban Stanisław Zingler w Żytowiecku, ks. radzca i proboszcz Roman Leszczyński w Osiecznie i ks. dziekan Edward Szymański w Dziewierzewie; — 25-letni jubileusz obchodzić będzie w roku bieżącym ks. dziekan i prob. Wojciech Hanneman w Skwierzynie.

— **Ks. arcybiskup Stablewski** złożył wizytę dyrektorowi landszafty Staudemu z powodu obchodu 50-letniego jubileuszu urzędowania. P. Staudy był przez długie lata prezesem policyi poznańskiej i wywiózł w takim charakterze do więzienia ostrowskiego arcybiskupa Ledóchowskiego z Po-

znania. Pan Staudy jest zaciętym wrogiem polskości, za to mu też hakatyści przygotowali na szeroką skalę urządzone owacye. W sejmie pruskim wygłasza p. S. antipolskie mowy.

— **Zmiany polskich nazw.** W dzienniku urzędowym rejencyi poznańskiej („Amtsblatt“ nr. 52) z dnia 26 grudnia r. z. mieści się znów ogłoszenie dotyczące zmian nazw miejscowości polskich i to 26 folwarków i leśniczówek. Oprócz tego nakazana pisownia zamiast folwarku Kalwy, na „Kalwi“, dominium Otusz na „Otusch“ w powiecie grodziskim i majętności rycerskiej Brzostek w powiecie średzkim na „Brostek“.

Zwracamy uwagę na ogłoszenie młodego rodaka, poszukującego odpowiedniego zatrudnienia. Bliższe szczegóły podane są w ogłoszeniu p. t. „Polak“.

— **Ważne dla opiekunów w Poznaniu.** Często się zdarza, że opiekunowie przez sąd opiekuńczy ustanowieni potrzebują informacyi w sprawie wykonywania opiekuństwa. W wszystkich takich sprawach a mianowicie zanim się złoży urząd opiekuna, należy się udać po informacyę, której udziela bezpłatnie mecenas dr. Jankowiak w Poznaniu, Stary Rynek 76.

— **Nowe nabytki komisyi kolonizacyjnej.** W miesiącu listopadzie z. r. kupiła komisya kolonizacyjna w Ks. Poznańskiem około 4000 hektarów (15 majątków) a w Prusach Zachodnich przeszło 1400 hektarów (6 majątków). Wiosną b. r. sprowadzi kolonistów na obszar 21,000 hektarów (przeszło 12 000 w Księstwie Poznańskiem a około 9000 w Prusach Zachodnich). Już teraz jest gotowych dla nowych kolonistów przeszło 1100 parcel w wielkości aż do 20 hektarów. Działalność komisyi kolonizacyjnej postępuje w szybszem tempie, i gazety hakatystyczne już wyrażają życzenie, aby sejm nowe dla niej uchwalił miliony.

— **Frymarka ziemią.** Donoszą „Dz. Pozn.“ że gospodarz p. Rzanny z Sokolnik gwiazdowskich pod Kostrzynem zamierza sprzedać swe 150 morgowe gospodarstwo komisyi kolonizacyjnej.

Czy to prawda? Korespondent dodaje, że p. Rzanny gospodarstwo to kupił przed rokiem, sprzedawszy swoje na Kujawach. Ziemia w Sokolnikach bardzo dobra, budynki w dobrym stanie.

— **Pan dr. Józef Ulatowski** opuścił w niedzielę ubiegłą wieczorem więzienie inowrocławskie, w którem przesiedział pół roku jako odpow. redaktor „Dzien. Kuj“. Żona jego nadaremno starała się, aby go wypuszczono na święta Bożego Narodzenia.

— **Kardynał Kopp a hakatyści.** W „Polaku“ czytamy: „My tu pod zaborem pruskim mamy hakatystów, którzy zaprzysięgli śmierć Polakom a ruch ten hakatystyczny potępia i wiara nasza i Kościół. Na Śląsku austryackim mają także hakatystów, którzy tworzą tam tak zwany „Nordmarkenverein“. Raciborski „Anzeiger“ donosi, że X. kardynał Kopp podarował hakatystom Śląska austryackiego 150 marek. Wiadomo, że X. kardynał Kopp jest także biskupem Śląska austryackiego. Nam się po prostu wierzyć nie chce, by książę Kościoła pieniędzmi popierał ruchy hakatystyczne, potępiane przez Kościół katolicki. Wprawdzie X. kardynał Kopp nie odznacza się przyjaźnią do Polakow i jest zagorzałym Niemcem, ale wątpimy, czyby się miał zapomnieć do tego stopnia, by dawał aż zapomogi hakatystom. Na to X. kardynał Kopp jest za mądrym człowiekiem. Byłoby dobrze, gdyby z Wrocławia tej wiadomości zaprzeczono, bo nie przyczynia się do zyskania szacunku i miłości dla biskupa wśród ludu polskiego“.

— **W sprawie księży germanizatorów** odbieramy — pisze „Lech“ — dzisiaj dwa pisma, jedno z Inowrocławia, drugie z Śremu. Z Inowrocławia piszą nam znane rzeczy o X. Glatzlu i przypominają mu, jak będąc akademikiem w Wrocławiu jeździł do Krakowa odwiedzić groby *królów naszych*, jak się dosłownie wówczas wyrażał.

„Z Śremu donoszą nam, że proboszcz tamtejszy X. Becker, dawniejszy kapelan wojskowy — przy ostatnich wyborach do katolickiego dozoru szkólnego wbił klin między katolików głosując razem z kilku katolikami-Niemcami na siebie, podczas gdy legalnym kandydatem katolicko-polskim był p. dr. Nawrocki. Ostatni został naturalnie wybrany, a cała akcya X. Beckera była kompromitacyą katolickiej sprawy i pozostawiła po sobie niesmak. X. Becker jako były kapelan wojskowy utrzymuje ożywione stósunki towarzyskie z garnizonem wojskowym. W towarzystwach polskich się nie udziela. Śremskie probostwo przynosi rocznie około 12 000 mk. Należy do probostwa folwark Drzonek około 500 mórg pszennej ziemi.

„X. Becker mówi „wcale nie źle po polsku“, co podług zasady wygłoszonej niedawno przez „Dniewnik poznański“ jaknajzupełniej wystarczy“.

— **Proces prasowy.** Tutejsza Izba karna skazała dnia 4-go b. m. właściciela i redaktora „Komara“ p. Z. Słupskiego z powodu zamieszczenia artykułu w nr. 53-im tegoż pisma „O sprzedawczykach“, w którym dopatrzono się wywierania nacisku (Nötigung) na sprzedawczyków, na 300 marek kary lub 30 dni więzienia. Prokurator wniósł o 600 mrk. kary lub 60 dni więzienia. Oskarzonego bronił p. mecenas Drwęski.

— **Bal akademicki.** Z kół młodzieży dowiadujemy się, że bal akademicki zwykle w tym czasie urządzany, wyjątkowo w tym roku się nie odbył ze względu na poważne położenie w zaborze rosyjskim.

— **Polacy w Izbie lekarskiej.** Do Izby lekarskiej W. Księstwa Poznańskiego obrano z Polaków następujących lekarzy: pp. dr. Jerzykowskiego, dr. Pomorskiego, dr. Dembińskiego i dr. Krysiewicza z Poznania, dr. Wróblewskiego z Buku, dr. L. Krzyżagórskiego z Wrześni i dr. Drożyńskiego z Piły.

— **Gospodarz p. Czajkowski** z Łocińca donosi „Wielkopolaninowi“, że nie dał nikomu polecenia do sprzedaży swej własności. Pisze, że kręcą się około jego gospodarstwa agenci, ale nie sprzeda go komisyi kolonizacyjnej, „choćby go w srebrze i złocie chcieli utopić“. — Brawo!

— **Pan Józef Sliwinski** z Kotowa pod Poznaniem przybył do redakcyi „Postępu“, prosząc o sprostowanie fałszywej wiadomości, wedle której pan S. miał sprzedać gospodarstwo swe komisyi kolonizacyjnej. Pan Sliwiński sprzedał owo gospodarstwo panu Suwalskiemu z Łazarza, pomimo, że komisya ubiegała się o kupno i dawała trzy tysiące marek więcej, jak pan Suwalski. Lecz pan Sliwiński wolał sprzedać gospodarstwo Polakowi z mniejszym zyskiem, za co należy mu się szczere uznanie.

— **Ob. Wacław Perkowski,** chcąc Amerykanów zapoznać z nami i wybić im z głowy naleciałości, ze źródeł obcych o nas czerpane, ogłosił w najpoważniejszych pismach angielskich przeszło 60 artykułów o Polsce i Polakach. Za ten ogrom pracy, podjętej przez jednostkę w celu przysłużenia się naszej sprawie narodowej, należą się dzielnemu obywatelowi wyrazy podzięki i uznania.

— **Pomoc dla Niemców w Rosyi.** W Poznaniu utworzył się komitet, który ma na celu biednym Niemcom pod panowaniem rosyjskiem nieść pomoc materyalną. Komitet ten w łączności będzie z wydziałem ratunkowym, który się ukonstytuował w Berlinie. Podobne komitety powstają także i w innych miejscowościach, tak n. p. w Krotoszynie, o czem czytamy w odezwie, jaką tamtejszy dziennik powiatowy zamieszcza. Pod odezwą jest nazwisko „Krug“, które, jak kilka pism podaje, ma oznaczać podobno ks. proboszcza Kruga.

— **Z teatru.** Wznowiona świeżo na scenie naszej farsa Ryszarda Ruszkowskiego p. t. „Wesele Fonsia“ miała wielkie powodzenie. Artyści grali wybornie i w należytem tempie. Królem wieczoru był p. Dobrzański (Mrozik, pisarz). Nadzwyczaj liczna publiczność bawiła się znakomicie i wyrażała swe zadowolenie częstemi wybuchami śmiechu i żywemi oklaskami.

— **Blacharz — dekarz,** uzdolniony w swym fachu któryby mógł założyć obok warsztatu także handel materyałów blacharskich, prosi Szanownych Czytelników na tej drodze o łaskawe wskazanie takiej miejscowości w Księstwie, w którejby się mógł osiedlić i proceder swój oraz handel z powodzeniem prowadzić. Dawniej był na obczyźnie, ale wrócił do kraju, gdyż się obawiał, aby mu tam nie zgermanizowano dzieci. Oferty prosimy nadesłać do Redakcyi „Pracy“.

— **Z Neumühl-Buschhausen.** Nasz „Sokół“ wyleciał z gniazda rodzinnego, a ujrzawszy daleko na zachodzie nad Renem braci swych, tam osiadł, rozpostarł swe skrzydła i zakłada nowe, a nowe gniazda, aby krzepić ciało i ducha. Takie gniazdo znajduje się też u nas i dosyć pięknie się rozwija. Tylko czujna policya pruska krzywem na nie patrzy okiem!

Nie dość, że robi mu trudności w ćwiczeniach oraz odbywaniu zebrań i zabaw, ale zakazuje nawet jego członkom nosić czapki według własnego upodobania, „to czapki sokolskie„ powiadając. . A te czapki przecież w rodzinnych stronach prawie każdy rodak a nawet i Niemcy noszą.

Z powodu „maciejówek“ mieliśmy też już proces po dwakroć, ale sąd po dwakroć nas uwolnił. Sąd w noszeniu „maciejówek nie uważał „grubej swawoli“ i uwolnił nas także w drugiej instancyi od winy i kary. Prokurator domagał się 5 marek grzywny dla każdego druha.

— **Kłamstwa hakatystyczne.** W „Orędowniku“ czytamy: „Za poznańskiemi gazetami niemieckiemi podaliśmy wiadomość, że w prywatnej szkole w Ostrzeszowie pomazano obraz cesarza atramentem. Jak nam donoszą, jest to rozmyślne oszczerstwo.

— **Hrabia Jan Bniński** skazany przez Izbę karną w Pile, ponownie za fałszywą grę w karty na 3 miesiące więzienia oraz jeden miesiąc fortecy za wyzwanie na pojedynek p. Ponińskiego, wniósł o rewizyę wyroku, jak donosi „Berliner Tageblatt““.

— **Hakatysta Polakowi.** Z Dąbia pod Gniewkowem piszą do Dzien. Kuj": „Były przewodniczący miejscowego „Ostmarkenvereinu", pozasłużbowy nauczyciel p. Hoffmann, obecnie mieszkający w Bydgoszczy, sprzedał swą posiadłość tutejszą, wynoszącą 15 mórg, rodakowi naszemu p. Lewickiemu. Wyjątkowy to hakatysta."

— **Zjazd hakatystów.** W Malborku odbędzie się w tym roku, prawdopodobnie w sierpniu, zjazd bractw hakatystycznych zachodnio-pruskich. Wybrali sobie na zjazd bardzo stosowne miasto. Cienia Krzyżaków, którzy w Malborku mieli swoją stolicę, nie odmówią im swej pomocy przy rozpatrywaniu nowych środków prześladowczych przeciwko Polakom.

— **Drętwa karku.** Jak wiadomo, stwierdzono na początku ubiegłego miesiąca urzędowo pierwsze wypadki niebezpiecznej choroby tej w Dopiewcu w powiecie poznańskim zachodnim. Zachorowało tam ogółem 9 osób, zwłaszcza dzieci. Czworo z nich zmarło, resztę w liczbie 5 przetransportowano do lazaretu miejskiego w Poznaniu. Krótko po wypadku tym swierdzono także drętwę karku w Palędziu u 16 letniej służącej i dwuletniego dziecka, z których pierwsza także zmarła. Dla zwalczenia niebezpiecznej epidemii tej zarządziła odnośna władza policyjna jak najszersze środki ostrożności, tak że obecnie nie ma żadnego powodu do obawy.

— **Gniezno.** „Lech„ donosi, że władza wojskowa zakazała w sali p. Kosznickiego, w której odbył się ostatni wiec, na którym przemawiał poseł Korfanty, urządzać obydwom tutejszym pułkom festyny na cesarskie urodziny, jakotoż orkiestrom wojskowym koncertować. Niemcy w swej niechęci ku nam rujnują i bojkotują się sami. Niechęć ku Polakom tak ich daleko jeszcze zaprowadzi, że rujnować się u nas będą nawzajem. Już dzisiaj można pomiędzy kupcami i rzemieślnikami Niemcami słyszeć wielkie żale i skargi na nieszczęsną politykę, uprawianą przez rząd. Maluczko, a przepolitykują się na „wschodnich kresach" i wytworzą rozłam między ludnością niezależną niemiecką a władzami.

„Dziennikowi Kujawskiemu" donoszą ztąd co następuje:

„Gospodarz Jan Gałęzewski z Żydówka, właściciel 165-morgowego gospodarstwa, ofiarował takowe komisyi kolonizacyjnej. Gałęzewski nabył swoje gospodarstwo przed pół rokiem, tłomaczy się jednak, że jest niezdrów, i musi je sprzedać. Jest to jednak spekulacyjny wykręt, bo Polak daje mu 6000 marek zarobku, a więc jeśli jest chory, powinien się cieszyć, że ma kupca Polaka. Lecz on powiada, że mu kolonizacya wiele więcej daje i nie chce oczywiście owemu Polakowi sprzedać. Czy tam nie ma ludzi, aby go nakłonili do upamiętania się? Czy ten pan nie wie co to dzisiaj znaczy sprzedawczyk?

„Donosiliście także, że Bukała, który nabył niedawno Kawiary od wrzesińskiego Banku za cenę około 230,000 marek, głosi publicznie, że sprzeda temu kto da więcej. Wszelkie apelacye do sumienia p. Bukały będą pewnie głosem wołającego na puszczy, bo żąda 50,000 marek zarobku, których mu oczywiście żaden Polak dać nie może. Niemieckie instytucye mogą mu to dać, bo one Polakowi płacąc wysoką cenę za ziemię, płacą jednocześnie za zdradę ojczyzny i Kościoła.

„Czas też wielki, aby polskie Banki jeżeli chcą być takiemi, przy sprzedaży majątków się zastrzegały, inaczej podkopią bardzo zaufanie do siebie."

— **Ostrów.** *W Ostrowskim „Kreisblacie"* z dnia 30 grudnia znajduje się ogłoszenie dozoru kościoła kat. w Ostrowie o sprzedaży stodoły proboszczowskiej. W dozorze zasiadają sami Polacy, którzy zamiast ogłosić sprzedaż w piśmie polskiem, ogłaszają takową w blacie niemieckim! Do „Gaz. Ostr." piszą: Kochana ta ziemia nasza! Kryje ona jeszcze masę nadspodziewanych skarbów w sobie. Niedawno dano pozwolenie na założenie wielkiej ilości kopalni węgla brunatnego w Księstwie, a teraz inny przemysł znów w naszych stronach się rozwija. Kręcą się kupcy ze Śląska lub ich agenci i kupują rudę żelazną, która na gorszych łąkach-torfiskach wszędzie się znajduje. Główne dwie firmy Rawak i Grunewald z Bytomia i Kulmir z Marienhütte szukają pokładów, kopią sami i układają w metry. Za metr płacą, jak się targować 2 mr. W Wielowsi u jednego gospodarza wykopali z 2 mórg 6000 metrów, cóż, kiedy po 1 mrk. sprzedał!

Wielkie przestrzenie kupili w Przygodzicach i Rososzycy. Ruda ta czy żużel leży pod cieńką zwykle warstwą murszu lub ziemi. Każdy gospodarz powinien wiedzieć, czy ją posiada i ile jej posiada. Dobrze mieć kawał wyrąbany w domu, żeby pokazać kupcowi próbę.

Łąkę, która się bardzo poprawia przy wybraniu kamienia, winien kupiec zrównać po wybraniu rudy.

— **Koronowo**, 29 grudnia 05. Tutejszy bank ziemski dziś rozpoczął błogą swoją pracę zakupnem gospodarstwa p. Teodora Frydrychowicza z Dziednia pod Monkowarskiem zawierającego 500 mórg pszennej roli z kompletnym inwentarzem za 35,000 marek.

— **Liniewko.** Wyczytałem w ostatnim numerze „Pracy", że Liniewko sprzedane kolonizacyi, co się najzupełniej z prawdą *nie zgadza*; jest w tem niezawodnie pomyłka, bo *Górne Liniewo* graniczące z Liniewkiem sprzedał Niemiec Wenzmer kolonizacyi. Proszę zatem *w następnym numerze „Pracy"* fałszywą wiadomość *sprostować, gdyż kolonizacya nigdy dobra mego nie dostanie.*

N. Tempski.

Wiadomość powyższą powtórzyliśmy za Gazetą „Grudziądzką."

Przyp. Redakcyi.

— **Strzelno.** Następującą sensacyjną wiadomość podaje „Postęp", którą na odpowiedzialność tegoż pisma podajemy: „Obiega tu pogłoska, że na rozkaz ministra wojny aresztowano i odstawiono do Szpandawy 11 podoficerów z Inowrocławia, którzy podobno wydawali broń i amunicyę rewolucyonistom z Rosyi; pośredniczyli podobno żydzi. W Toruniu i Gnieźnie podjęto również aresztowania w tej sprawie, którą odnośne władze starają się utrzymać w ścisłej tajemnicy."

— **Z pod Trzemeszna** piszą do „Dzien. Kuj." „W niedzielnym numerze „Dziennika Kujawskiego" było podanem w korespondencyi z Koronowa, że niejakiś pan A. Bloch sprzedał swoją własność Niemcowi czy kolonizacyi. Tenże sam pan „A. v. Błoch" zgłosił się do dozoru kośc. w Ostrowitem prymasowskiem, aby mu role plebańskie wypuszczono w dzierżawę. Dozór kośc. dowiedziawszy się o jego postępku jako sprzedawczyka, odpowiedział mu, że ludziom takim, którzy ojczystą ziemię w obce ręce zaprzepaszczają, — sprzedawczykom — roli proboszczowskich w dzierżawę nie dają. — Brawo!

— **Łasin**, Prusy Zachodnie, 4. 1. 06. Na miejscu od 50 lat istniejącego dotychczas w niemieckich rękach przy rynku położonego „Hotel zur Apothoke" otwiera rodak nasz p Michał Adamczewski z Kwidzenia skład bławatów, garderobę damską i męską.

— **Kraków.** *Sienkiewicz do kobiet polskich.* W końcu ubiegłego roku odbyło się otwarcie nowego lokalu Polskiego Związku Niewiast Katolickich w pałacu Śpiskim w obecności bardzo licznie zebranej publiczności, Zebranie to uświetnili obecnością swoją X. arcybiskup Teodorowicz i Henryk Sienkiewicz. Po kilku wstępnych słowach, wypowiedzianych od serca przez przewodniczącą p. Maryanową Zdziechowską ku uczczeniu pamięci zmarłej przed paru dopiero dniami prezesowej hr. Jadwigi Rostworowskiej, zabrał głos Sienkiewicz i w pięknem przemówieniu zaznaczył, że w teraźniejszych czasach nie dość jest mieć zasady, nie dość je wyznawać w życiu prywatnem; trzeba też chcieć i umieć dla nich pracować, i to właśnie zadaniem jest kobiety Polki; nie groźne są bowiem dla okrętu wichry i rafy podwodne, groźną tylko rozterka w załodze. Znakomitemu powieściopisarzowi wręczono kwiaty.

Nekrologia.

† S. p. *Andrzej Bobowski*, długoletni współpracownik „Postępu", dzielny Polak i gorący patryota, umarł dnia 5-go b. m. w Poznaniu w 51-ym roku życia.

Nieboszczyk był jakby urodzony na agitatora politycznego podczas wszelkich wyborów. Przed 3 laty podczas wyborów parlamentarnych działał najwięcej na zagrożonych kresach a nawet na Górnym Sląsku i od tego czasu zarwał na zdrowiu tak dalece, że śmierć przecięła pasmo jego życia.

Krótko przed śmiercią wytoczono nieboszczykowi dwa procesy prasowe, które dla choroby musiano odroczyć.

Cześć Jego pamięci, spokój Jego duszy!

† Ś. p. *Agnieszka Lindner*, przełożona klasztoru Elżbietanek w mieście naszem przy ulicy Łąkowej umarła dnia 3-go b. m. przeżywszy lat 69. Przed dwoma laty obchodziła nieboszczka 50-letni jubileusz pożycia klasztornego.

† Ś. p. *Wincenty Dandelski* umarł przed świętami Bożego Narodzenia w Kobylinie. Nieboszczyk był rodem z Poznania i tutaj też przez długie lata był zatrudniony w fabryce Cegielskiego jako majster tokarski. Za dawniejszych czasów zmarły brał także udział w życiu publicznem, walczył w powstaniu w 1863 r. Kilka lat przed śmiercią wyprowadził się nieboszczyk do Kobylina do familii.

† Ś. p. *Jan Chryzostom Radoj*, dnia 1-go b. m. w Szczerbinie. Zwłoki złożono dnia 4-go b. m. w grobowcu familijnym w Gromadnie.

† Ś. p. *Stanisław Reichstein*, dnia 31-go z. m. w Gnieźnie, licząc lat 34.

Ruch w Towarzystwach.

— **Poznań.** *Wyzwolenie, Towarzystwo zupełnej wstrzemięźliwości od napojów alkoholicznych.* Ponieważ sala mniejsza Dominikańska okazała się za szczupłą dla zebrań naszego Towarzystwa, odbędzie się przyszłe zebranie na większej sali Dominikańskiej, *w niedzielę, 14-go stycznia o* $8^1/_2$ *wieczorem.* Porządek ogłosimy później. Zarząd.

— **Poznań.** *Koncert „Harmonii“.* Jak się dowiadujemy, przysposabia Towarzystwo Śpiewu „Harmonia“ na Św. Łazarzu dla dzielnicy tej prawdziwą niespodziankę. W przyszłą niedzielę dnia 14 b. m., urządza powyższe Towarzystwo obchód rocznicy, połączonej z uroczystością poświęcenia okazałego sztandaru, którego wykonanie zlecono tutejszemu znanemu zakładowi paramentów kościelnyeh pań Cwojdzińskiej i Majewskiej. O godzinie 10 rano odbędzie się uroczyste nabożeństwo w kościele M. B. Bolesnej na św. Łazarzu, poczem poświęcenie sztandaru. W południe o 12-tej uroczyste posiedzenie połączone z wspólnym obiadem na sali Wzgórza św. Łazarza (Wilhelmshöhe) z współudziałem licznych delegacyi i koncertem instrumentalnym. Wieczorem o 7-mej na tej samej sali wielki koncert wokalno instrumentalny z łaskawym współudziałem Koła Śpiewackiego Polskiego w Poznaniu, Towarzystwa Śpiewu „Halka“ w Jeżycach, pianistki i nauczycielki muzyki p. Z. Żołdakiewiczowej ze św. Łazarza, artysty Teatru Polskiego w Poznaniu p. Stanisława Szatkowskiego i muzyka p. Alwina Brzezińskiego.

Koncert będzie o tyle niespodzianką, że trzy miejscowe Towarzystwa śpiewackie ze swemi chórami żeńskiemi — razem przeszło 100 pań — w nim udział wezmą. Oprócz tego wystąpi osobno chór żeński „Harmonii“ pod kierownictwem nauczycielki muzyki pani Z. Żołdakiewiczowej, który to występ zapowiada się świetnie. Produkcye orkiestrowe wykonają wyłącznie muzycy zawodowi pod kierownictwem dyrygenta „Harmonii“ p. A. Brzezińskiego.

Jednem słowem, Towarzystwo śpiewu „Harmonia“ nie szczędziło trudów i zabiegów, by obywatelstwu zgotować prawdziwą biesiadę artystyczną i duchową.

Od Redakcyi. Uroczystość i koncert „Harmonii“ polecamy łaskawej uwadze naszych Czytelników i wyrażamy nadzieję, że chętnie i tłumnie zeń skorzystają.

— **Ostrów.** Tutejsze Towarzystwa Czeladzi polsko-katolickiej urządza w niedzielę, dnia 14-go stycznia r. b. przestawienie amatorskie. Odegraną będzie sztuka p. t. „Gałganduch czyli „Trójka hultajska“. Początek o godzinie $^1/_2 8$ wieczorem.

O liczny udział prosi Zarząd.

Od Redakcyi.

— *Panu Pawłowi T. Widerskiemu w Lucenie, Brazylia.* — Firma S. Bendlewicz i Spółka w Pleszewie — Pleschen Provinz Posen.

— *Panu Józefowi M. w Recklinghausen.* — Bank Przemysłowców w Poznaniu.

— *Panu A. P. w Grodzisku.* — Z powodu świąt musieliśmy przyspieszyć druk numeru na 31-go z. m. i dlatego notatki, którą odebraliśmy za późno, już zamieścić nie mogliśmy.

— *Panu Ol. w Nekli.* — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale zużyć nie możemy, gdyż ów wiersz powszechnie znany jest całkiem niefortunnie zastosowany do sprzedawczyków.

— *Panu St. H. w Gnieźnie.* — Życzeniu Szan. Pana i wielu abonentów czynimy zadość. Za wyrazy uznania dla „Pracy“ dziękujemy.

— *Panu Walentemu Chw. w Dysseldorfie.* — Rękopis jest tak nieczytelnie odbity, że odcyfrować a tem samem zamieścić nie możemy.

— *Panu E. D. w D.* — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale piosnka znana powszechnie jak też i melodya, dlatego nie zamieścimy.

— *Pani L. Dąbrowskiej w Charlottenburgu.* — Pomiędzy papierami pozostałemi w biurku uwięzionego p. W. dotychczas życzonej fotografii ś. p. S. odszukać nie mogliśmy; jeżeli *odnalezіemy* odeszlemy natychmiast. „Pracę“ wysyłamy na tutejszą pocztę co tydzień tak wcześnie, że każdy czytelnik nawet w odległych stronach powinien ją otrzymać ze swej poczty najpóźniej w każdą niedzielę rano. Prosimy się zażalić na miejscowej poczcie.

— *Zarządowi Towarzystwa Czeladzi polsko-katolickiej w Ostrowie.* Tym razem zamieściliśmy; w przyszłości prosimy takie zaproszenie nadesłać jako ogłoszenie płatne do Administracyi „Pracy“.

— *Pani Stanisławie P. w Wągrowcu.* — Za życzenia noworoczne i wyrazy współczucia dla p. W. serdeczne dziękujemy. Co do rozwiązania szarady to widocznie pominięto Szan. Panią w spisie; prosimy o przebaczenie i o dalsze nadsyłanie rozwiązań, łamigłówek, szarad i t. d.

— *Pani L. B. w Berlinie.* Najuprzejmiej dziękujemy za łaskawą bezinteresowną przesyłkę; zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

Wiadomości literackie i artystyczne.

— **Jak pisać listy? czyli Nowy Sekretarz polski.** Pod powyższym tytułem wyszło co tylko nakładem p. K. Kozłowskiego w drugiem powiększonem wydaniu bardzo dobre i pożyteczne dziełko. Wydawca uwzględnił w niem wszelkie wymagania życia praktycznego; znajdujemy tam w pięknym, potoczystym języku pisane wszelkiego rodzaju korespondencye: listy z doniesieniem, z prośbami, z powinszowaniem, z radami i zaproszeniem, listy kondolencyjne, z podziękowaniem, listy pomiędzy rodziną, listy miłosne i t. d. Zawiera też *Nowy sekretarz* krótką naukę o listach w ogólności, o ich formie zewnętrznej, o tytułach, adresach; dalej obejmuje jeden z działów jego wzory korespondencyi z dziedziny rólnictwa, przemysłu i handlu i tak: rachunki i korespondencye, kwity, rewersy, cesye, plenipotencye, kontrakty i t. d. Znajduje się też w tym dziale przeszło 70 prześlicznych sentencyi czyli myśli i zdań najcelniejszych naszych jak i obcych pisarzów. Sentencye te są odpowiednie do umieszczenia w pamiętniku.

W drugiej części *Nowego Sekretarza* umieścił autor listy znakomitych pisarzów polskich jak: Śniadeckiego, Niemcewicza, Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Sienkiewicza i t. d., które nietylko ze względu na treść, lecz głównie na styl swój są dla czytelnika wielce pożyteczne. gdyż na nich wzorować się może.

W trzeciej części *Sekretarza* podał p. Kozłowski na kilkunastu stronach *błędy języka polskiego,* popełniane często tak w mowie żywej jak i piśmiennej, — dalej wyłożył jasno i przystępnie *główne zasady pisowni polskiej.* Dodatek ten części trzeciej podniesie bardzo wartość i tak już dobrej książki, za jaką uznano powszechnie *Nowego Sekretarza,* gdyż, używany jako praktyczny podręcznik, przyczyni się niezawodnie do zachowania czystości pięknej mowy polskiej, którą niestety, coraz więcej kaleczymy. A przecież każdy Polak dbać powinien o czystość języka ojczystego, powinien nim dobrze władać i nie robić błędów. Przecież mowa ojczysta to mowa twej matki, co do snu cię kołysała, co budziła twoją duszę, mowa, w której ci wskazała niebo, krzyż i rodzinną ziemię, w której ci nianki pierwsze dziecinne śpiewały piosenki! Mowa ojczysta, to mowa serca, z nią splecione są pierwsze życia wrażenia, w niej pierwszą modlitwę i pierwszą spowiedź odbyłeś!

„Przyda się obca mowa, lecz milszą sto razy,
Którąm pierwsze na świecie wymówił wyrazy;
Miłą mi ona będzie, a gdy śmierć w mym progu
Zawita, ojczystą mową polecę się Bogu“.

Dawniej uczono pięknej naszej mowy w szkołach, dziś wykluczono ją z niej i z życia publicznego. To też obowiązkiem świętym każdego Polaka, aby kształcił się w języku ojczystym, aby nim mówił poprawnie i nie kaleczył go rażącymi błędami. Każdy sam i bez szkoły przy dobrych chęciach wiele nauczyć się może przez pilne i uważne czytanie dobrych i pożytecznych książek, a do tych zaliczamy sumiennie także *Nowego Sekretarza,* posiada on bowiem wszelkie zalety, jakie są potrzebne przy zdobywaniu sobie wzorowej polszczyzny, gdyż jest w nim język poprawny, wolny od giermanizmów i wszelkich naleciałości obcych, tok mowy czysto polski, niema tam uchybień gramatycznych i stylowych, które, niestety, napotykamy nieraz w naszych utworach literackich; „*Sekretarz* wykazuje nam dalej liczne błędy językowe, jakich powinniśmy unikać i podaje w sposób przystępny i zrozumiały różne reguły o poprawnej pisowni polskiej czyli ortografii. To też niewątpimy, że społeczeństwo nasze powita zradością to nowe i będące na czasie wydawnictwo p. Kozłowskiego i że każdy dom polski posiadać będzie *Nowego Sekretarza* jako praktyczny, pożyteczny i nadzwyczaj tani podręcznik, gdyż pomimo powiększenia druku w tem nowem wydaniu cena za egz. oprawny wynosi tylko 2 mrk.

A. B,

Humorystyka.

Pan stójkowy w Warszawie.

Polka kuchenna do melodji: „Zalecał mi się"...

Zalecał mi się z rogu stójkowy;
Kawalir fajny od pięt do głowy:
Siabla przy boku, a wąs do góry,
Jeno mu brakło z tyłu turniury!

Trajlunek byłci: masz rade szczere,
Wyjdź za stójkusa — zrobisz karjere,
Stójkus pan wielki od głów do pięty,
Bojomci go sie nawet studenty.

Trzech ich sie zbierze gdziesić na rogu,
Już bury sypie, poleć się Bogu:
„Gospoda co to, siejczas do części!"
Zara do siabli i lu do pięści!

Bedomci wszystkie zazdrościć doli,
Bo maci stójkus honor na Woli,
Z nożowcem tamci wielkom ma sztabe,
Razem do szynku chodzom na labe!

Floteci bedzie tak łać jak wode;
Łóżkoci kupi, kufer, komode,
Bedziesz na łokieć nosić obcaszy,
Kapelusz z piórem, gorset, atłasy!

Furdaci warśtat, zakład, fabryka,
Kadryl ma flote i przez rezyka,
Bo pan naczelnik, prawdziwy hrabia,
Kabze ma grubom, choć nie zarabia!

Każden podatek jak w dym przyniesie,
Bury w Warszawie — gajowy w lesie,
Ta z pod latarni, dryndziarz-sałata,
Abo da fajgla lub za łeb brata!

Handlarz, przekupka — wszystko klijenty —
Nie mań się, głupia, wsadź w nos te wstręty;
Życie mieć będziesz jedwabne straśnie...
No i co z tego?... A jakże właśnie!

Co dziś stójkowy? Tyla co figa:
Nie przeszed miesiąc, ze strachu dryga,
Przestał łeb nosić straśnie do góry,
Łape ssać będzie od dzisiaj bury!



Myśli i zdania.

Emancypantka jest to kobieta, która pali papierosy i nosi krótko przystrzyżone włosy.

Kobieta cieszy się dwa razy w życiu, raz, gdy wychodzi za mąż, drugi raz, gdy zostaje wdową.

Mężczyzna robi karyerę, kobieta może tylko wyjść za mąż.

Kobieta a zatruty cukierek — to jedno.

Mysz idzie na słoninę, kobieta na brylanty.

Do dzieci mówimy „ostrożnie z ogniem," do mężczyzny „ostrożnie z kobietą".



„Kiepskie" czasy!..

„Kiepskie czasy — burknął Błażej
Życie jest psa warte!"
Zaklął, splunął, wąs pokręcił
I poszedł na... karty.

„Racya — rzecze na to Michał,
Człowiek schodzi na psa!"
Krząknął, poskrobał się w głowę
I poszedł na... „sznapsa".



Ba!

— Moja Marysiu, co to się zrobiło, że twój narzeczony wcale się nie pokazuje?

— A bo nie wychodzi...

— Chory?

— Nie, ale siedzi w kozie!



Maciek przed sędzią.

Bonifacemu Kazimierzowi Marudzie — ukradziono konia, który miał na boku wypalone litery B. K. M. Konia ukradł chłop imieniem Maciek i przed sędzią się tłumaczy, że te litery go skłoniły do porwania konia, bo je sobie tłumaczył: „Bierz konia Maćku".



Mąż i żona to jedno ciało.

Sąsiedzi chcą bronić żonę, którą mąż bił, a on woła: Ja czynię co apostół nakazał, karzę ciało moje i w niewolę podbijam.

Jeden z nich: Przecież nie twoje ciało bijesz, tylko żonę.

Mąż: Ale św. Paweł powiedział, że mąż i żona to jedno ciało.



Dwie kumoszki nieszczęśliwe.

— Zmiłujcie się kumoszko: takiego mam męża
Lepiej bym poślubiła smoka albo węża!
Nijakiego z nim żądu nie dojdę ni końca,
Choć cały dzień wojuję do zachodu słońca,
To on jakby nie słyszał, oczami nie mruga,
Ani słowa nie mruknie, we warsztacie struga.

— E-e-e-e! to, nic „Kumosicko" drуga ulubiona
Jakiego ja mam „hycla," łotra, faraona!
Kiedy zacznę z nim o co, jak zaklnie siarczyście,
To w tej chwili kumosiu, milczę uroczyście...

* * *

Gdyby te dwie kumoszki mężów pomieniały,
Prawdziwego by szczęścia w małżeństwie doznały.

Jantek z Bugaja.



Najpewniejsze przedsiębiorstwo.

— Mój Janklu! doradź mi co mam począć; mam trochę gotówki i chciałbym co założyć, lecz w dzisiejszych czasach obawiam się straty.

— Nu, ja panu doradzę łatwy interes: niech pan założy nogę na nogę, na tem to jeszcze nikt nie stracił...



Przy kasie kolejowej.

Dziewczyna: Proszę o bilet!

Kasyer: Dokąd, panienko?

Dziewczyna: A pana co to obchodzi?...

Kasyer: Do dyabła! przecież jak mam dać bilet, to muszę wiedzieć, dokąd panna jedzie!..

Dziewczyna (z wściekłością): Musisz pan wiedzieć, to proszę: Jadę do mojego kochanka!...



Także powód dumy.

— Dziś rano oczyściła mi żona ubranie benzyną, koledzy pękną z zazdrości, bo sądzić będą, że jechałem automobilem.

